

Pr. 117/83
Instytut Polski Warszawa

e

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM VI

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 6

STEFAN KONORSKI

MARIA FIDERER

KAROL ESTREICHER

DAVID LAZER

STANISŁAW ŁEMPICKI

MIECZYŚŁAW WIONCZEK

IRENA KRZYWICKA

* * *

LITERATURA,
SZTUKA I NAUKA
W ANGLII

LONDYN

CZERWIEC

1946

**MILLIONS of RAZORS
make hay of
BILLIONS of BRISTLES
per day**

thanks to this
**SOFTENING SMOOTHING
SOOTHING LATHER**



1/10½ & 3/- Including Tax

Wilerbys

Kawiarnia — Restauracja

Obiady — Podwieczorki taneczne

Kolacje z tańcami

Kuchnia i ciastka domowe

Orkiestra kontyentalna

Melodie polskie

6, Hanover Str., London, W. 1

Tel. MAYfair 0826

KOSTIUMY skrojone przez **VANĚK'A**

noszą na sobie cechę mistrzowskiego
ujęcia specjalisty kontynentalnego.

Świetnie skrojone i uszyte wyłącznie
z najlepszych materiałów.

4, WILLIAM STREET

Knightsbridge

London,

S. W. 1.,

również w BOURNEMOUTH

UWAGA!

POLSKI KUŚNIERZ

dawniej Katowice

LANGER & CO. (FURRIERS) LTD.

Obecnie:

1 Notting Hill Gate, London, W. 11

Tel.: BAYwater 3773

(dawniej Knightsbridge)

Nowe futra z własnych lub powierzonych
materiałów. Przeróbki i czyszczenie.

Posezonowa zniżka cen futer gotowych
na składzie.

SPIS RZECZY

	Str.
STEFAN KONORSKI — <i>Rozważania historyzoficzne</i>	321—336
MARIA FIDERER — <i>Na zamku Macbetha</i>	336—345
KAROL ESTREICHER — <i>Zmiany</i>	345—349
DAVID LAZER — <i>Chrapusta</i>	349—353
STANISŁAW ŁEMPICKI — <i>Książki i ludzie</i>	354—357
MIECZYSLAW WIONCZEK — <i>Złośliwe bankructwo</i>	357—366
IRENA KRZYWICKA — <i>Cud warszawski</i>	366—368
* * * <i>Literatura, sztuka i nauka w Anglii</i>	369—384

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM VI

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 6

LONDYN

CZERWIEC

1946

STEFAN KONORSKI

ROZWAŻANIA HISTORIOZOFICZNE

Na Marginesie Działań Prof. E. H. Carr'a

I

W książce pod tytułem „Conditions of Peace” wydanej w początkach roku 1942 prof. Carr tak określa charakter odległych jeszcze wówczas powojennych stosunków międzynarodowych:

„Polityka zagraniczna nie przestanie istnieć dla państw silnych (polityka zagraniczna państw nie posiadających siły była zawsze czymś iluzorycznym) i z rzeczywistym stosunkiem sił trzeba będzie w nowym świecie liczyć się tak samo, jak trzeba było w starym”.

Współczesna nam rzeczywistość wykazuje, że przewidywania cytowanego autora okazały się zupełnie słuszne. Zasługują one na uwagę tym bardziej, że jaskrawo odbijają się od większości literatury politycznej okresu wojennego, która nie odznacza się nazbyt wielką trzeźwością. Dlatego w przeważnej swojej części literatura ta (nawet jeśli chodzi o dzieła roszczące sobie pretensję do obiektywizmu historycznego) zdeaktualizowała się niezmiernie szybko: możemy wręcz powiedzieć, że „ekspektatywa życiowa” książki z tego zakresu uległa podczas wojny tak samo skróceniu, jak ekspektatywa życiowa tych, co znaleźli się na frontach walk.

Książki natomiast Edwarda Halleeta Carr'a, jakie ukazały się w ciągu sześciu lat wojny, należą do tych stosunkowo nielicznych wyjątków, które wytrzymały próbę czasu. Nie znaczy to, że wszystkie poglądy tego autora uważać należy za słuszne i że akceptując teoretyczne jego przesłanki trzeba również podpisać się pod politycznymi konkluzjami. Autor jest od lat bodaj 10 profesorem historii stosunków międzynarodowych (według angielskiej nomenklatury — „Polityki zagranicznej”) na uniwersytecie Południowej Walii, a przed rozpoczęciem kariery uniwersyteckiej piastował szereg stanowisk w brytyjskim Foreign Office. Pisma jego są dziełami*) nie tyle historyka ile męża stanu

*) Dzieła te obejmują: zarys polityki zagranicznej W. Brytanii od pokoju Wersalskiego p.t. „Britain” (w serii *Ambassadors at large*) wydana w drugiej połowie 1939 r., książkę „The Twenty Years' Crisis 1919-1939,” wydaną przeszło o rok później, wzmiankowana już książkę „Conditions of Peace” oraz niewielką książeczkę p.t. „Nationalism and After,” która ukazała się w r. 1945.

i to brytyjskiego męża stanu, mającego przede wszystkim na uwadze kierunek polityki zagranicznej swego państwa. Dla czytelnika interesującego się brytyjską polityką zagraniczną lektura tych dzieł posiada wartość wprost nieocenioną, a to tym bardziej, że unikają one wady większości opracowań monograficznych w tym zakresie, które zwykle ograniczają się do analizowania działalności państw na terenie polityki zagranicznej w oderwaniu od tła historycznego i związku tej polityki z innymi dziedzinami życia politycznego.

W poniższych naszych uwagach temat ten nie będzie w ogóle poruszony, albowiem ograniczamy się w nich do rozważenia zagadnień, które w tytule określone zostały jako „historiozoficzne.” Inaczej mówiąc — przedmiotem tych uwag będą nie wywody prof. Carra odnoszące się do polityki WBrytanii, lecz jedynie historyczna koncepcja, na której wywody te są oparte, ich teoretyczne założenia. Toteż artykuł niniejszy nie posiada znamion publicystyki i nie ma na celu ani krytykowania czy potwierdzania brytyjskiej racji stanu, tak jak ujmuje ją wspomniany autor.

Dzieje stosunków międzynarodowych od początku istnienia nowoczesnych, niezależnych od siebie państw, to znaczy najwcześniej — od epoki Odrodzenia, Carr dzieli na trzy okresy, z których pierwszy zamyka się Wielką Rewolucją Francuską, względnie — dwudziestolecie wojen Napoleońskich, drugi trwa do wybuchu wojny światowej w r.1914, znamionującej początek trzeciego okresu, którego blaski i nędze obecnie przeżywamy.

Cechą podstawową pierwszego okresu jest identyfikacja państw — w stosunkach pomiędzy nimi — z ich władcami. Społeczność międzynarodową zatem według pojęć ówczesnych tworzyła „międzynarodówka monarchów”, zarówno świeckich, jak książąt Kościoła, sprawujących suwerenną władzę na podległych im terytoriach. Istniejąca poprzednio — w średniowieczu ponadpaństwowa więź religijna, oparta na powszechności wiary katolickiej, została zniweczona przez wyłomy, jakich Reformacja dokonała w tej powszechności i przez zwycięstwo zasady „Cuius regio eius religio, oznaczającej państwową reglamentację, „upaństwowienie” jakbyśmy dziś powiedzieli, życia religijnego. Świecka zaś więź zależności ponadpaństwowej opartej na prymacie Cesarstwa już wcześniej zaczęła się chylić do upadku przez stopniowe uniezależnianie się poszczególnych władców europejskich. Wówczas to zaczyna się kształtować pojęcie suwerenności państwa — władcy.

Polityka zagraniczna sprowadza się do stosunków między tymi suwerennymi władcami. Dyktują ją interesy, ambicje i zatargi dworów cesarskich, królewskich, książęcych. Tą samą drogą kroczy polityka gospodarcza, której myślą przewodnią jest przysparzanie bogactw „krajowi” pojmanemu jako szkatuła władcy; w jej stadium ostatnim (które później nazwane zostało merkantylizmem) szczególny nacisk kładziono na uprzemysłowienie i ścisłe powiązanie go z handlem zagranicznym celem zapewnienia dopływu szlachetnego kruszcu z zagranicy do tej szkatuły.

Dlatego zapewne w Polsce i innych krajach w których władza królewska nie uległa wzmocnieniu do granic absolutyzmu, merkantylizm pozostał raczej anemicznym naśladownictwem zagranicznych wzorów, niż rzeczywistym panującym kierunkiem w polityce gospodarczej.

Głębokie przeobrażenia, jakich świat doznał pod wpływem Wielkiej Rewolucji Francuskiej, ze wszystkimi zjawiskami pochodnymi, sięgnęły podstaw charakteru państwa. Przystaje ono być tym, co poprzednio, t.j. nie tylko przedmiotem nieograniczonej władzy, lecz jak gdyby prywatną posiadłością panującego. Poprzez cały wachlarz form ustrojowych państwo XIX wieku, rozwija się w kierunku państwa „narodowego”. Dialektyka procesu dziejowego sprawiła, że utrzymanie osiągnięć Rewolucji Francuskiej i ich rozszerzenie się na resztę kontynentu europejskiego, nastąpiło właśnie w następstwie klęski Napoleona t.j. zwycięstwa koalicji, która zwalczała jego władztwo pod hasłem przywrócenia ancien régime'u. Ale „naród” w pojęciu Rewolucji Francuskiej (abstrahując od teoretycznych enuncjacji proklamujących np. powszechne prawo wyborcze) nie obejmuje w rzeczywistości tych jego warstw, które w następstwie przywykliśmy nazywać „ludem”, a później „masami pracującymi”. W większości krajów europejskich „naród” równoznaczny jest ze zwycięskim „Stanem Trzecim”, którego rdzeniem jest rozwijające się gospodarstwo i kulturalnie mieszczaństwo.

Elementy, stanowiące liczebnie znaczną większość ludności tych krajów, nie mają zrazu głosu w sprawach publicznych. Są one nawet w państwach o ustroju rzeczywiście parlamentarnym „odfiltrowane” od jakichkolwiek wpływów przemysłowymi systemami ograniczeń w konstytucjach XIX wieku, poczynając od wyborów kurialnych (najbardziej trącących feudalizmem) a kończąc na cenzusie majątkowym (w państwach bardziej liberalnych). Godzi się przypomnieć polskiemu czytelnikowi, że powszechne prawo wyborcze we Francji wprowadziła dopiero konstytucja 1873 roku, w WBrytanii w szerszym zakresie dopiero ustawa wyborcza 1867 r., zaś w Niemczech konstytucja Rzeszy z r. 1870 ustanowiła wprawdzie parlament oparty na powszechnym prawie wyborczym, ale o kompetencji i uprawnieniach tak ograniczonych, że „Druga Rzesza” nie stała się państwem istotnie parlamentarnym.

Zagadnienie dojrzałości politycznej mas ludowych, ich zdolności obrony własnych interesów i stworzenia swojej własnej ideologii politycznej należy oczywiście traktować jako coś zupełnie odrębnego od formalnie-prawnej możliwości wywierania przez nie wpływu na sprawy państwowe. Tutaj wystarczy stwierdzić, że mimo „demokratyzacji”, o której mowa, rządy wszystkich państw europejskich, które emancypowały się z pozostałości absolutyzmu poprzedniej epoki, spoczywały do końca rozpatrywanego okresu solidnie w rękach burżuazji lub gdzieś indziej burżuazji wespół z resztkami warstw szlachecko-ziemiańskich.

Stosunki między państwami posiadają oblicze odpowiadające temu ich charakterowi.

Zdaniem prof. Carra okres, o którym mowa, „is generally accounted the most orderly and enviable of modern international relations”. Niezawodnie czytelnikowi polskiemu trudno jest pogodzić się z tą oceną. Niewzruszony, jakby się zdawało, układ stosunków rosyjsko-niemiecko-austriackich XIX wieku i brak zainteresowania Francji i WBrytanii w ich przeobrażeniu na pewno nie był dla Polski niczym „enviable”. Nie mniej przeto uważać należy jako niesporny fakt, że stan rzeczy, oparty przede wszystkim na traktatach wiedeńskich z r. 1815, okazał się bardziej trwałym niż faza stosunków międzynarodowo-

wych, jaka rozpoczęła się mniej więcej o sto lat później wybuchem wojny światowej. Nie dlatego bynajmniej, by ten stan rzeczy odznaczał się jakimiś szczególnymi immanentnymi zaletaniami. Podstawowym warunkiem tej trwałości stosunków była ewolucja życia gospodarczego, która, używając skrótu opartego na terminologii marksowskiej, doprowadziła do opanowania przez kapitalistyczny sposób produkcji zarówno kontynentu europejskiego jak i innych części świata.

Podług zasad panującej podówczas doktryny „laissez faire” działalność gospodarcza, kulturalna czy inna jednostek pozostawiona jest ich swobodnej decyzji, nieskrępowanej zarządzeniami jakiegokolwiek władzy czy wymogami planowania. Jedyne ograniczenia mają charakter ochrony wolności innych jednostek. Tak więc prawo liberalnego społeczeństwa burżuazyjnego dopuszcza swobodę umów np. o pracę na każdych warunkach, ale nie pozwala na taką umowę na całe życie pracownika, gdyż to uczyniłoby z pracy niewolę.

Ustrój gospodarczy liberalnego społeczeństwa burżuazyjnego stanowi więc wypadkową działań (zbieżnych i rozbieżnych) jednostek opartych na ich indywidualnych dążeniach i interesach. Jest to zatem całość oparta na automatyzmie procesów gospodarczych, niezakłóconych ingerencją państwa czy w ogóle regulowaniem ich z zewnątrz.

Nie da się zaprzeczyć, że w połowie zeszłego stulecia doktryna liberalizmu została, jeżeli nie absolutnie, to w każdym razie w dużym stopniu wcielona w życie i w ówczesnych warunkach historycznych dała wyniki doskonałe. Tempo rozwoju gospodarczego świata zostało dzięki niej znakomicie przyspieszone. Ekspansja gospodarcza krajów, biorących udział w handlu międzynarodowym, miała wówczas przed sobą możliwości, jak się wydawało, po prostu nieskończenie wielkie, rynki zbytu wewnętrzne i zagraniczne o olbrzymiej pojemności, źródła surowców w krajach zamorskich jeszcze nawet nie zbadane. Świat nie wydawał się ciasny.

Przodujące państwa, najbardziej uprzemysłowione i najbardziej rozwinięte ekonomicznie, rozszerzały ustawicznie swoje stany posiadania, przez podbijanie krajów i ludów pierwotnych, Ale wówczas, wobec istnienia olbrzymich wolnych obszarów zamorskich i stosunkowo niewielkiego ich znaczenia gospodarczego i to nie miało znamion wrogiej rywalizacji. Dopiero koniec stulecia przynosi widmo przyszłych zatargów kolonialnych (i nieomal doprowadza do wojny francusko-angielskiej o podział Afryki środkowej).

Niewątpliwie w ciągu omawianego przez nas okresu nastąpiło powiązanie różnych krajów i części świata węzłami współpracy i wymiany gospodarczej w stopniu bez porównania większym, niż kiedykolwiek przedtem, wpływając na podniesienie się poziomu życia i kultury materialnej nieznanie wiekom ubiegłym. Rozwój stosunków międzynarodowych nie zmierzał jednak, wbrew nadziejom polityków i ekonomistów okresu liberalnego, ku zespoleniu świata w jednolity system gospodarczy i społeczny oparty na międzynarodowym podziale pracy, wolności międzynarodowej, wymianie dóbr i usług tudzież swobodnym ruchu ludności w wykonywaniu działalności gospodarczej.

Zaznaczyć trzeba, że wówczas, gdy zarysowujący się zmierzch wzmiankowanych tendencji rozwojowych wydawał się w świetle panującej wówczas teorii chwilowym tylko zakłóceniem

„naturalnej” harmonii w stosunkach międzynarodowych, nieprzedawnioną zasługę marksizmu słałowiło, że postawił trafne rozpoznanie zbliżającego się nowego etapu historii. Kapitalizm, jak twierdziła doktryna marksowska już w pierwszych latach bieżącego stulecia, wszedł w nową fazę rozwojową, w fazę imperializmu (termin ów w tym sensie użyty był zdaje się po raz pierwszy przez socjologa i ekonomistę angielskiego Hobsona). W toku procesu koncentracji kapitału powstają wielkie koncerny, które zyskują dominujący wpływ na kierunek polityczny „własnych” rządów. Jednocześnie na terenie międzynarodowym dochodzi do zaostrzonej walki o zagraniczne rynki zbytu i o źródła surowców. Walka ta przestaje być prywatnym biznesem zainteresowanych grup kapitalistycznych, wkracza ona w orbitę działalności państw, t.j. prowadzona jest całym nakładem środków politycznych, wręcz do użycia siły oręża.

Wracając do omawianego przez nas autora angielskiego stwierdzić można, że jakkolwiek bynajmniej nie uważa on się za adherenta marksizmu, niemniej konkluzje jego, a nawet sposób ich sformułowania, zbieżne są z tą doktryną. Przytoczymy dwa ustępy szczególnie charakterystyczne.

„Ku końcowi XIX stulecia, pisze Carr, zorganizowane grupy kapitalistów wywierały decydujący (predominant) wpływ na życie polityczne wszystkich krajów, które osiągnęły wyższy stopień rozwoju.”

Poprzednio zaś przemiany, o których mowa, są przez niego zobrazowane, jak następuje: „...the holders of economic power, instead of agreeing — as the theory of liberal democracy required — that the state should merely hold the ring while they competed against one another with economic weapons, now more and more openly descended into the political arena and used political weapons to secure economic benefits for themselves, thus making organised economic power for the first time the dominant factor in politics”.

Prof. Carr zdaje więc sobie dokładnie sprawę, że fundamenty układu stosunków międzynarodowych zostały nadwątlone przez ewolucję tej samej klasy społecznej, która doszła do władzy w wyniku Rewolucji Francuskiej i sprawowała ją bez większych zakłóceń w ciągu następnych stu lat. Stosunki międzynarodowe, które zrazu kształtowały się pod znakiem likwidowania pozostałości okresu poprzedniego, wyzwalała narodów z więzów autokratycznej władzy monarchów, tworzenia państw narodowych (Włochy, Węgry, Serbia, Bułgaria, Rzesza Niemiecka), rozwoju handlu zagranicznego, kosmopolityzmu w życiu kulturalnym świata, niwelowania granic, przynajmniej pomiędzy ludami białej rasy, weszły stopniowo na tory odgradzania się gospodarczego, kulturalnego i politycznego poszczególnych obszarów państwowych, powstawania sfer wpływów t.j. uzależniania państw słabszych od silniejszych i rosnących napięć w dziedzinie polityki zagranicznej, znamionujących zbliżanie się momentu krytycznego.

Koło historii dokonało w opisywanym tu okresie pełnego obrotu — od stanu rzekomej trwałej równowagi i harmonii w stosunkach międzynarodowych (tak, iż nawet przysłowiowa beczka prochu jak gdyby straciła siłę wybuchową) do takiej sytuacji, w której wszystkie ważniejsze ośrodki rozwoju gospodarczego, złoża węgla i rud metalowych, źródła nafty i linie wielkich rzek, zdawały się być usiane beczkami prochu o niebywałej mocy.

Jeżeli układ stosunków międzynarodowych spoczywa na podstawach dostatecznie trwałych, to zachodzące zmiany w stosunku sił poszczególnych państw prowadzą do powstania nowego, odmiennego od istniejącego poprzednio, stanu równowagi, ale nie pociągają za sobą zakłóceń o charakterze głębokim, strukturalnym. Dla ilustracji słuszności tego twierdzenia przytoczyć można doniosłą przemianę, nieledwie przewrót w sytuacji politycznej Europy, jaki spowodowała porażka Francji w wojnie 1870 r. i powstanie Rzeszy Niemieckiej jednoczącej wszystkie państwa niemieckie. Francja przestała być mocarstwem zdolnym do prowadzenia samodzielnej polityki na kontynencie europejskim, a w każdym razie spadła do klasy mocarstw drugorzędnych. Niemniej jednak całokształt stosunków międzynarodowych nie uległ zasadniczym przemianom. „Koncert europejski” zmienił oblicze, ale jeszcze przez kilkadziesiąt lat świat pozostał tym samym, czym był poprzednio.

Zgoła inny charakter posiadają natomiast zakłócenia, jakich byliśmy świadkami po wojnie 1914-18 r. Zwycięstwo Ententy, osłabienie stanowiska Rzeszy Niemieckiej, upadek monarchii Austro-Węgierskiej, powstanie szeregu nowych państw narodowych (Polska, Czechosłowacja, Litwa, Łotwa i Estonia), wzmocnienie się i wzrost innych (Jugosławia, Rumunia), wreszcie usunięcie się Rosji ze współpracy międzynarodowej i zmiana jej potencjału politycznego i militarnego, mogły prowadzić jedynie do „zmiany mapy politycznej” Europy (pomijamy dla uproszczenia zmiany w innych częściach świata, za pewnością nie mniej doniosłe). Ale, miast wytworzyć nowe ugrupowania państw na takich samych fundamentach jak poprzednio, wojna doprowadziła do stanu rzeczy, który w publicystyce nazywa się „kryzysem XX wieku”, „zawieszeniem broni” etc. Tytuł znanej książki Nitti wydanej w pierwszych latach po wojnie poprzedniej brzmi: „Europa bez pokoju”. W każdym razie tak dla polityków jak i w ogóle dla opinii publicznej wszystkich krajów jasnym się stało, że ani nie może być mowy o powrocie do całokształtu stosunków międzynarodowych sprzed wojny ani też nowo wytworzone stosunki nie mają znamion czegoś permanentnego.

Jakkolwiek proklamowane urzędowo cele wojenne zwycięskiej koalicji państw z pewnością nie są jedynym czy w ogóle dostatecznym kryterium dla oceny osiągnięć politycznych zwycięzców, nie można odmówić racji uwagom Carra w tym przedmiocie. Podkreśla on, że cele te sformułowane zostały wówczas przede wszystkim w sposób negatywny, podobnie zresztą, jak to miało miejsce również i podczas wojny obecnej. Przed trzydziestu laty oznajmiono światu, że wojna toczy się o zniszczenie militarystyki niemieckiej i o obronę świata przed hegemonią pruską. Po wejściu Stanów Zjednoczonych w poczet stron wojujących nastąpił w tym względzie o tyle postęp, że Woodrow Wilson określił pozytywne cele wojenne Ententy, w znanych 14 punktach, których myślą przewodnią było prawo narodów do samookreślenia i ustanowienia w Europie rządów o charakterze demokratycznym. Sprawa o którą toczyła się walka została obwołana sprawą demokracji i sprawą wolności narodów. Te cele jednak posiadały, jak stwierdza Carr, ten defekt, że „stanowiły one cele Rewolucji Francuskiej i kształtowały idee cywilizacji zachodniej w ciągu XIX wieku... Woodrow

Wilson i entuzjaści liberalnej demokracji i wolności narodów po prostu powtarzali hasła dawno minionej epoki. Tłumaczy to ciekawy paradoks, że większość idealistów świata anglosaskiego w ciągu ostatnich 20 lat składała się z reakcjonistów w ścisłym sensie tego wyrazu. Byli oni pod wrażeniem ostatnich podrygów (expiring convulsions) rewolucji światowej, jaka nastąpiła przed 150 laty i wystąpili przeciwko nowej rewolucji światowej, która dokonała wyłomu w istniejącym wówczas układzie stosunków, a mianowicie przeciwko rewolucji bolszewickiej 1917 r."

Szczególnego zaznaczenia wymaga, że owe cele wojny zostały po jej zwycięskim zakończeniu istotnie w bardzo dużej mierze wcielone w życie. Zamiast 14 państw istniejących w Europie po zjednoczeniu Niemiec, t.j. w r. 1871, czy 20 państw w r. 1914 Europa po-wersalska liczyła 26 państw, opartych zasadniczo na jedności etnicznej. Los terenów o ludności mieszanej był w szeregu wypadków decydowany przy pomocy plebiscytu. Dawne autokratyczne lub półautokratyczne monarchie przekształciły się w państwa o systemie parlamentarnym. Ale ani sytuacja wewnętrzna, gospodarcza, społeczna w większości nowych państw europejskich nie stała się przez „unarodowienie” i „zdemokratyzowanie” bardziej pomyślną i bardziej skonsolidowaną niż w państwach ancien régime'u przedwojennego, ani też stosunki międzynarodowe nie nabrały charakteru bardziej harmonijnego. Raczej, jak już wyżej wzmiankowano, coraz bardziej dojrzało przekonanie, że wprawdzie wojna została wygrana, ale pokój przegrany.

Dla celów propagandy wojennej przez ostatnie 6 lat obraz polityczny Europy malowano tak, jak gdyby czarny hitlerowski wilk atakował białe demokratyczne owieczki, imputując, że wystarczy zabić wilka, by świat znów stał się zieloną łąką, na której w spokoju żyją niewinne twory. W rzeczywistości zaś z liberalnej demokracji, której hasła wypisane były na sztandarach konferencji pokojowych w r. 1919, nie została nawet legenda. I wśród państw zwycięskich i zwyciężonych poczęto „likwidować” instytucje demokratyczne niemal nazajutrz po ratyfikacji traktatów.

Utrzymywanie w mocy ustroju republikańskiego lub monarchii konstytucyjnej, a nawet izb parlamentarnych, było częścią formalnością, maskującą dyktatorski de facto charakter władzy w większości państw europejskich na długo przed wrześniem 1939 r. A i w tych nielicznych państwach, które rzeczywiście pozostały wierne parlamentarnemu systemowi rządów (poza może tylko WBrytanią i krajami skandynawskimi), system ten bynajmniej nie zarekomendował się swą żywotnością i sprawnością.

Nie należy zapominać, że i Hitler i Mussolini i Dolfuss i Salazar (i cały szereg innych dyktatorów) potrafili ugruntować swą władzę w krajach, w których poprzednio były w mocy demokratyczne formy rządów, oparte na instytucjach parlamentarnych, gdzie istniała swoboda tworzenia organizacji politycznych, prasa różnych odcieni, związki pracownicze etc. Demokracje tych krajów okazały się zupełnie niezdolnymi do obrony własnego istnienia, a nawet niezdolnymi do rozbudzenia zapału do walki lub choćby zainteresowania szerokich mas swymi losami. Jeżeli chodzi o Polskę, to wydaje się niezaprzeczalnym faktem, że rozwalenie przez Piłsudskiego systemu rządów

parlamentarnych w roku 1926 spotkało się raczej z aprobatą niż sprzeciwem większości ludności; dopiero późniejszy proces rozwoju dyktatury (coraz bardziej upodabniającej się do dyktatur w krajach faszystowskich) prowadził do wzrostu opozycji i ruchów o tendencjach demokratycznych, które jednak nie nabrały mocy takiej, by zaważyć na szali wypadków.

Liberalna demokracja, będąca wytworem Rewolucji Francuskiej, oparta na hasłach wolności i równości (trzecie hasło — *fraternité* — od samego początku pozbawione było właściwie treści) sprowadza się do „równości wszystkich wobec prawa”, co w dziedzinie politycznej oznacza posiadanie przez wszystkich obywateli czynnych i biernych praw wyborczych. Posiadanie tych praw i formalna równość między obywatelami zachowuje znaczenie tam, gdzie istotnie — w życiu codziennym, w działalności gospodarczej, w położeniu społecznym obywatele ci są sobie równi. Masy pracowników, którym prawo zapewnia wolność zawierania umów o pracę niezbyt się entuzjazmują tą wolnością gdy pracy znaleźć nie mogą albo gdy stałość zatrudnienia (t.j. wolność zawierania umów o pracę po stronie pracodawcy) i marne warunki wynagrodzenia są ich główną troską. „Pojęcie wolności — konstatuje Drucker w znanej swojej książce („*The End of Economic Man*”) utraciło na wartości, przekonano się bowiem, że wolność ekonomiczna nie prowadzi do równości... Masy gotowe są porzucić wolność, jeżeli obiecuje to bardziej racjonalny układ świata”. Równość wobec prawa przy niesłychanych rozbieżnościach rzeczywistych staje się osiągnięciem tak nierealnym, że we wszystkich krajach europejskich w okresie między dwiema wojnami zaczęto ją ograniczać. Jak bardzo już wcześniej wydawała się ona fikcją, świadczy znane powiedzenie Anatola France’a, że wszyscy Francuzi są równi wobec prawa, i dlatego zarówno biednym jak bogatym nie wolno spać pod mostami.

To samo dotyczy praw politycznych ogółu ludności. Carr w swoich wywodach duży nacisk kładzie na wyżej przez nas wzmiankowane reformy konstytucyjne, upatrując w nich możliwości wpływu na sprawę państwowe. Jednakże niemniej kategorycznie podkreśla on we wszystkich swoich pracach, że przewidywana przez Marksa przed niemal stu laty tendencja rozwojowa społeczeństw burżuazyjnych oparta na powstawaniu wielkich koncernów przemysłowych i finansowych, stanowiących „państwa w państwie” skupiła w ich rękach rzeczywistość i istotną władzę. Nie da się zaprzeczyć, że powszechne prawo wyborcze było i jest jednym z istotnych czynników działających w kierunku zrealizowania reform socjalnych, jak to ustawodawstwo dotyczące ochrony pracy, zdrowotności publicznej, szkolnictwa, etc., które zapewne, przynajmniej w niektórych krajach, nie były by do pomyslenia, gdyby masy były w dalszym ciągu odsunięte od wszelkiego udziału w sprawach państwowych. Doskonałym przykładem, opartym na bieżących wydarzeniach angielskiego życia społecznego, są losy planu Beveridge’a zmierzającego do unowocześnienia i rozbudowania opieki socjalnej w Wielkiej Brytanii do poziomu, który osiągnięty został w wielu krajach kontynentalnych; przeprowadzenie tego planu okazało się możliwe tylko dzięki większości parlamentarnej, jaką rozporządza Partia Pracy, albowiem obóz konserwatywów kategorycznie mu się opierał. Ale te i podobne reformy, choć może są czasem doraźnie uciążliwymi dla interesów niektórych grup przedsiębiorców, bynajmniej nie godzą w istnienie

i rozwój ustroju, ani nie mają wpływu na to gdzie skoncentrowana jest władza polityczna w państwie. Dlatego politycy demokratyczni, którzy widzą we wprowadzeniu ustroju konstytucyjnego, opartego na wolności organizacji politycznych, swobodzie prasy i powszechności prawa wyborczego do instytucji parlamentarnych i samorządowych, środek do zdobycia tego, co Teodor Parker nazwał „Government of the people by the people for the people”, musieli przejść w ciągu dwudziestu lat pomiędzy dwiema wojnami przez niekończące się pasmo rozczarowań.

W epoce kapitalizmu monopolistycznego ośrodek władzy państwowej musi się znajdować w rękach panujących grup finansowo-przemysłowych, gdyż jest to *conditio sine qua non* egzystencji tego ustroju. Toteż tak długo, jak ustrój ten istnieje, tożsamość rządzącego i rządzonego, stanowiąca klasyczne kryterium demokracji, musi się okazać taką samą fikcją, jak równość członków społeczeństwa tam, gdzie najszerze warstwy ludności, robotników, pracowników umysłowych, kupiectwa i całych odłamów przemysłu przetwórczego zależne są od owych grup sprawujących kontrolę nad zasobami gospodarczymi i aparatem produkcyjnym, administracją i polityką zagraniczną państwa.

Tak więc, konkluduje Carr, demokracja liberalna, sprawdzająca się do obdzielenia wszystkich obywateli równymi prawami politycznymi, manifestującymi się przede wszystkim udziałem w wyborach, jest martwą pozostałością minionej epoki; w przyszłości ocena demokracji „uzależniona będzie od tego, w jakiej mierze ona potrafi demokratyczną zasadę równości rozszerzyć ze sfery politycznej na sferę socjalną i ekonomiczną”.

Kryzysowi demokracji towarzyszy kryzys drugiej podstawy, na której oparty był ustrój polityczny po-wersalskiej Europy — zasady samo-określenia narodowego. I to hasło konferencji pokojowych zostało wcielone w życie w sposób bardziej kompletny, niż kiedykolwiek, albowiem, jak stwierdza znany historyk angielski H. A. L. Fisher polityczna mapa Europy wyrównana została „more closely than ever before in accordance with the views of the population concerned”.

Trudnością zasadniczą, którą Carr komentuje bardzo obszernie, jest sprawa określenia, co się uważa za „naród” i bezzasadne utożsamianie etnicznej jednostki narodowej z jednostką państwową. Twórcy traktatów pokojowych, zwłaszcza amerykańscy mężowie stanu, mieli na oku historyczne warunki, jakie się wytworzyły na zachodzie Europy, gdzie pojęcie „Francuza” czy „Niemca” może być kluczem do określenia granicy „Francji” i „Niemiec”. Zresztą i tutaj zachodzi kwestia czy np. Flamandowie lub Katalończycy stanowią grupę narodową, mającą prawo wyodrębnienia się we własną organizację państwową. W Europie wschodniej, gdzie rozwój historyczny potoczył się zupełnie innymi drogami, sprawa samo-określenia narodowego przedstawia się odmiennie. Tutaj zasada, że każde zbiorowisko, mające odrębne cechy etniczne, a więc przede wszystkim język, może utworzyć własne państwo, jest istotnie nie do przeprowadzenia. Rozdrobnienie tej części Europy na przykład na odrębne państwa czeskie i słowackie, polskie, białoruskie, słoweńskie, chorwackie, macedońskie, etc. doprowadziło by do politycznego absurdu. A przecież w braku obiektywnych kryteriów co do pojęcia „narodu” sproszkowanie to można poprowadzić jeszcze dalej, z poszanowania dla praw samo-określenia narodowego Rusinów podkarpackich, Tatarów małopolskich, czy Serbów

łużyckich. Jeszcze większą trudność nastęczało by (i tak już bardzo skomplikowane) wytknięcie granic między wszystkimi tymi tworam państwowymi na podstawie ściśle etnicznej, czy też likwidacja enklaw narodowościowych, tak często spotykanych w tej połaci świata.

Następnie zaś zwrócić należy uwagę na sprzeczność logiczną tkwiącą w zasadzie samo-określenia narodowego, pojętego jako prawo każdej wspólnoty narodowej do własnej organizacji państwowej. Wspólnota taka, jako oparta na celach etnicznych, nie jest zbiorowiskiem dobrowolnym. Czech nie może postanowić, że jest Polakiem, czy Duńczyk, że jest Holendrem; oczywiście jednak twierdzenie to nie wyłącza możliwości asymilacji pewnych odłamów narodowościowych, albowiem np. rodziny pochodzenia czeskiego, o czeskich nazwiskach i czeskiej genealogii, zamieszkałe od paru stuleci w Polsce, mówiące tylko po polsku i zupełnie spolszczone, są członkami polskiej grupy etnicznej nie na mocy decyzji ad hoc powziętej, lecz przesłanek historycznych. Jeżeli tedy te same cechy etniczne mają rozstrzygać i o przynależności do państwa odnośnej narodowości, to i tu nie powinno być miejsca na decyzję uzależnioną od nieskrępowanej woli poszczególnych obywateli. Jednakże idea plebiscytu, czy prawa opcji na rzecz tego lub innego państwa oddaje decyzję w ręce uprawnionych. W rezultacie ludność pewnych obszarów, uznanych za „sporne” lub też pewne kategorie ludności państw „sukcesyjnych” uzyskały możliwość swobodnego wyboru przynależności państwowej, przy czym, jak wykazują dane cyfrowe z obszarów plebiscytowych, decyzje większości ludności bynajmniej nie pokrywały się z jej kryteriami etnicznymi. Przywilej ten — wyboru państwa — nie był jednak przyznany ludności inoplemiennej zamieszkałej na innych obszarach.

Wskazujemy na to, nie dla wytknięcia braku logiki czy subtelności prawnej przy rozstrzyganiu sprawy samo-określenia narodowego, historia bowiem zdolna jest dźwigać na swych barkach jeszcze bez porównania poważniejsze błędy logiczne. Chodzi o polityczne konsekwencje takiego ujęcia zagadnienia narodowościowego.

Trudności — rzeczywiście nie do pokonania — leżą gdzie indziej. Próba do utrwalenia pokojowej współpracy między państwami przez oparcie struktury politycznej Europy o podstawy przynależności etnicznej zawiodła. Nie mogła ona nie zawieść, albowiem wbrew poglądom wywodzącym się z niemieckiej filozofii i niemieckiej mistyki politycznej, państwo nie jest jakąś tajemniczą komunią narodową o metafizycznych celach. Państwo jest organizacją mającą zadania polityczne, militarne, gospodarcze, socjalne. Aby miało ono możliwość spełnienia tych zadań, musi ono między innymi elementami rozwoju posiadać odpowiednie ukształtowanie granic. Przyjęcie kryterium granic etnicznych w formie chemicznie czystej nie udało się nawet za cenę poświęceń, których wymagało utrzymanie w mocy traktatów 1919 r. Dla tego np. wbrew zasadzie etnicznej trzeba było w 1919 r. znaleźć możliwość wydzielenia Gdańska z obszaru państwowego niemieckiego dla zapewnienia Polsce wolnego dostępu do morza i kontroli nad ujściem Wisły — t.j. zweksłować z toru samo-określenia narodowego na tor polityczno-gospodarczy. Znowuż kurczowe trzymanie się zasady etnicznej przy decydowaniu losu Prus Wschodnich doprowadziło do tego, że Polska znalazła się w sytuacji geograficznej niesłychanie niekorzystnej pod względem wojskowym.

Hasło „wyzwolenia uciemnionych narodów” posiadało, jak słusznie zaznacza Carr, niewątpliwie charakter postępowy w ciągu XIX wieku, gdyż odpowiadało warunkom rozwoju gospodarczego i społecznego owej epoki. Ale zrealizowanie tego hasła po wojnie 1914-18 nie w postaci zapewnienia każdej wspólnoty etnicznej możliwości pielęgnowania własnej kultury narodowej lecz przez nałożenie na każdą z nich zadań zróżniczkowanych i wielorakich nowoczesnego państwa, które wymagają organizacji i granic terytorialnych nie mających nic wspólnego z obszarem etnicznym, było próbą cofnięcia wstecz zegara dziejowego i musiało doprowadzić do fiasco ustrój oparty na państwach narodowych.

Nadomiar złego w okresie między dwiema wojnami zaobserwować można zjawisko, które na pierwszy rzut oka wygląda paradoksalnie. Otóż jakkolwiek wspomniany wyżej historyk angielski Fisher (w książce „History of Europe”) zapewnia, że najwyższej 3% ludności Europy pozostało po wytknięciu w 1919 r. nowych linii granicznych pod władzą obcej sobie narodowości, przekonaliśmy się, że sprawa „mniejszości narodowych” w większości państw europejskich wcale nie znikła z porządku dziennego, wręcz odwrotnie, zaogniła się w sposób niesłychany, a ostatecznie stała się jednym z głównych narzędzi ataku w rękach hitlerowskich najeźdźców. Wiąże się to ściśle z wytkniętym wyżej defektem logicznym, który jest źródłem złudzeń, jakim oddaje się cytowany angielski uczony. Mniejszości etniczne, którym nie przysługiwało ani prawo plebiscytu, ani opcji, rozsiane bowiem były od wielu dziesiątków, albo i setek lat na terytoriach zamieszkałych przez ludność o odmiennej narodowości, obejmowały znacznie większy odsetek mieszkańców Europy. Samych tylko Niemców, którzy znajdowali się poza granicami Rzeszy (i Austrii) było więcej niż wynosi cyfra wskazana przez Fishera. Podobnie np. cyfrę tę znacznie przewyższała sama tylko ludność białoruska i ukraińska zamieszkała w granicach państwa polskiego. Zrozumiałym zaś wydaje się, że skoro naczelną zasadą nowej organizacji politycznej Europy uczyniono państwo narodowe, to tym samym stworzono atmosferę, w której nacjonalizmy wszelkiego rodzaju miały szczególnie korzystne warunki rozwoju. Przyczyniło się to w sposób istotny do podminowania pokojowych stosunków między państwami, a wreszcie — jak już tu zaznaczono — ułatwiło faszyzmowi niemieckiemu (a potem włoskiemu) przygotowanie się do walki — nie o zjednoczenie narodu niemieckiego lecz o podbój świata.

III

Na początku pierwszej wojny światowej mogło się wydawać, że z chwilą zawarcia pokoju życie polityczne, społeczne i gospodarcze Europy powróci do miejsca, w którym je zastał sierpień 1914 r. Zrozumienie charakteru wojny torowało sobie bardzo powoli drogę do świadomości polityków i opinii publicznej. W związku z tym, co wyżej powiedziane zostało na temat udziału szkoły markowskiej w studiach nad tendencjami rozwojowymi polityki światowej należy tu nadmienić, że pierwszym głosem, dezawującym wojnę 1914-18 r. jako konflikt imperialistyczny, były tezy przyjęte na międzynarodowych konferencjach lewicowych odłamów partii socjalistycznych, jakie odbyły się w pierwszych latach wojny w Kienthal i Zimmerwald w Szwajcarii.

Stwierdzenie, że istotną przyczyną konfliktu wojennego są sprzeczne interesy potężnych grup kapitału finansowego i przemysłowego na terenie międzynarodowym i że istotnym celem walki jest supremacja jednej z tych grup nad drugą, było oczywiście wówczas uważane po obu stronach frontów bojowych za niegodziwą antypatriotyczną herezję, albowiem każda ze stron wojujących przedstawiała swój udział w wojnie jako obronę zagrożonego własnego bytu narodowego i innych ideałów. Dzisiaj nie znajdzie się chyba poważny historyk, który zakwestionowałby tkwiący we wspomnianych tezach (stanowiących jeden z mało znanych lecz ciekawych dokumentów nowoczesnej historii) rdzeń prawdy.

Po wojnie tendencje rozwojowe, o których mowa, stały się jeszcze wyraźniejsze. Wzmiankowany przez nas wyżej historyk angielski Fisher, opisując politykę gospodarczą niemiecką w przededniu wojny 1914-18 r. akcentuje, że niemiecki handel zagraniczny, przybierający szybko na rozmiarach i znaczeniu „popierany był przez rząd, jak gdyby stanowił on zaczepne operacje wojenne”. Trudno o lepsze sformułowanie metod, które po tej wojnie stały się typową formą polityki gospodarczej wszystkich niemal krajów europejskich. Zespolenie czynników kierowniczych polityki państwowej i sfery interesów dominujących grup kapitału finansowego i przemysłowego posunięte zostało dalej niż kiedykolwiek przedtem w historii. Organizacja państwowa stała się podstawową kategorią życia gospodarczego, a z drugiej strony, poprzez stosunek zależności wzajemnej, sprawy gospodarcze stały się jednym z tematów działalności politycznej państwa. Równolegle wpływ państwa przenikał coraz bardziej inne dziedziny życia jego ludności — stawał się elementem decydującym dla stosunków socjalnych, kulturalnych, naukowych etc.

Gdy więc niezaprzeczalnie od czasu pierwszej wojny światowej jesteśmy świadkami tak szerokiego rozrostu działalności państwowej w całej Europie (i w szeregu krajów poza Europą), zagadnieniem najpierwszej wagi musi się stać odpowiedź w jakiej mierze ukształtowanie się stosunków międzynarodowych na fundamencie traktatów 1919 r. odpowiada tym tendencjom rozwojowym i w jakiej mierze pozwala na ustabilizowanie się życia międzynarodowego.

Na to pytanie prof. Carr daje odpowiedź kategorię. Konkluduje on, że pomiędzy transformacją Europy na szereg państw o charakterze narodowym, której przesłanki ideologiczne opisaliśmy w rozdziale poprzednim, a wzmiankowanymi tutaj tendencjami rozwojowymi zachodzi sprzeczność, która jest jednym z najistotniejszych momentów przesilenia politycznego okresu dwudziestoletniego między dwiema wojnami.

Używając terminologii, jaką stosowaliśmy dotąd, powiemy, że w epoce liberalizmu, gdy Europa zdawała się zlewać w jedną całość gospodarczą i cywilizacyjną, a granice pomiędzy państwami zacierały się coraz bardziej, kwestia rozczłonkowania kontynentu na takie czy inne jednostki państwowe miałyby znaczenie podrzędne. W dalszym jednak stadium rozwojowym granice państw stały się rzeczywistymi barierami oddzielającymi zwarte społeczności połączone nie tylko więzami etnicznymi, ale niezliczonymi niciami wynikającymi z przynależności do tego czy innego nowoczesnego państwa.

Dlatego sprawa wielkości danego państwa w tym stadium rozwoju ma charakter podstawowy. Warunki rozwoju ekonomicznego

cznego — posiadanie przez dane społeczeństwo aparatu produkcyjnego, zdolnego do wytwarzania na wielką skalę, warunki rozwoju techniki, wymagającego kosztownej organizacji badań specjalnych — wszystko to nie do pomyślenia jest w ciasnych granicach terytorialnych małych jednostek państwowych o kilkumilionowej ludności. Również ogólny poziom cywilizacji i rozwój nauki i kultury wymaga warunków trudnych do zrealizowania w skali takich jednostek państwowych. Być może, iż zbędnym jest zwrócenie uwagi czytelnika, że mówimy tu o „tendencjach rozwojowych”, a nie o stanie rzeczy istniejącym w jakimkolwiek momencie, a przeto fakt wyższego rozwoju gospodarczego i kulturalnego np. małej Danii, aniżeli dużej Rumunii nie jest żadnym argumentem.

Tak więc w wyniku traktatów 1919 r. Europa została rozczłonkowana na większą ilość małych jednostek państwowych, gdy naszkicowane tu tendencje rozwojowe wymagałyby powstania wielkich obszarów zespolonych w ramach tej samej organizacji państwowej, pod tą samą administracją, posiadających wspólny system pieniężny, swobodę obrotu gospodarczego i komunikacji.

Powstanie państw narodowych nie mogło przyczynić się do zażegnania niebezpieczeństwa przyszłej wojny, gdyż nie wpłynęło hamująco na rywalizację międzynarodową właściwą epoce imperializmu, a nawet w pewnym stopniu oddziałać musiało w przeciwnym kierunku, ponieważ nowoutworzone państwa narodowe znalazły się w orbicie tej samej polityki i musiały często stosować te same środki walki na terenie międzynarodowym co ich potężni sąsiedzi.

Bardzo mocno akcentuje Carr moment bezpieczeństwa wojskowego. Współczesna wojna wymaga istnienia potencjału technicznego i gospodarczego, na który już w r. 1919 nie mogła sobie pozwolić większość małych państw. Dlatego koncepcja stworzenia systemu obronnego drogą sojuszu szeregu małych państw, przeważnie znajdujących się na dość niskim stopniu rozwoju gospodarczego, była już wtedy anachronizmem. Tym bardziej z punktu widzenia małych państw obecnie ta droga zabezpieczenia się wydaje się ostatecznie zamknięta. Czyżby więc mogły one związać swe nadzieje z organizacją bezpieczeństwa zbiorowego?

Łączy się z tym zagadnienie Ligi Narodów, jako organizacji, której głównym zadaniem było stworzenie systemu zbiorowego bezpieczeństwa. Fakt, że w tym względzie Liga Narodów całkowicie zawiodła, stał się oczywistym i bezspornym od pierwszej chwili gdy pokój w Europie został zagrożony, a zdaniem niektórych autorów jeszcze wcześniej — gdy konflikt chińsko-japoński dał w ogóle po raz pierwszy asumpt do puszczania w ruch aparatu, mającego służyć do przeciwstawienia się agresji.

Wymaga jednak pewnego naświetlenia sprawa przyczyn, dla których genewska instytucja kolektywnego bezpieczeństwa okazała się fiaskiem, tym bardziej, że temat ten nie jest pozbawiony pewnego znaczenia na przyszłość. Wydaje się, że motyw, na jakie zwraca główną uwagę prof. Carr, w rzeczywistości posiadają znaczenie raczej podrzędne. Niezmiernie typowym dla uczonego angielskiego jest argument, że zamiast wytworzyć pewien układ stosunków międzynarodowych, a potem usankcjonować go przyjęciem paktu Ligi (podobnie np. jak wydanie Statutu Westminsterskiego nie zapoczątkowało istnienia Brytyjskiej Wspólnoty Narodów tylko dało jej wyraz formalny), przy-

jęto ten pakt i usiłowano w myśl jego postanowień kształtować stosunki międzynarodowe. Następnie zaś podkreśla on ogólny i mało sprecyzowany charakter zobowiązań członków Ligi i niejasność pojęcia „napastnika” i „agresji”. Jednakże prawdziwą i najbardziej istotną przyczyną niemocy Ligi Narodów w przeciwstawieniu się agresji, należy upatrywać gdzie indziej. Nie ulega wątpliwości *ex post*, że Liga Narodów nie spełniła pokładanych w niej nadziei po prostu dlatego, że mocarstwa grające w Lidze pierwsze skrzypce, nie chciały opierać się odbudowaniu potęgi militarnej Niemiec.

Mężowie stanu Brytyjczy i Francuscy widzieli wówczas w hitleryzmie jedyny skuteczny bulwar mogący powstrzymać napór rewolucji socjalnej w Niemczech. Niemalą rolę grały też tendencje polityki brytyjskiej przywrócenia tradycyjnej „równowagi sił” w Europie drogą zbalansowania przodującej, jak wówczas uważano, potęgi militarnej Francji przez wzmocnienie pozycji wojskowej Niemiec. Gdyby nie krótkowzroczność i reakcyjny charakter polityki obu mocarstw zachodnich, przeciwdziałanie stworzeniu Trzeciej Rzeszy, odbudowie niemieckiej maszyny wojennej, obaleniu zasady demilitaryzacji Nadrenii i *etc.* mogło być (politycznie i wojskowo) przeprowadzone w ramach strukturalnych instytucji genewskiej *tel quel*, a zatem to nie niedoskonałość Paktu Ligi była przyczyną, że nie potrafiono zapobiec wybuchowi nowej wojny. Dlatego szukanie bezpieczeństwa zbiorowego przez wykoncypowanie lepszej formułki prawnej dla nowej organizacji stanowi samo w sobie omen jak najbardziej złowróżbny. Albowiem istota rzeczy polega na treści politycznej tej formułki, na aktywnej woli współpracy międzynarodowej celem przeciwstawienia się agresji i braku tej treści nie zastąpi najcelniejsze nawet ujęcie prawne zobowiązań międzynarodowych. Gdyż, jak pisze w innym miejscu prof. Carr, „szaleństwem byłoby negocjować istnienie nieodpartych dowodów, że współczesne rządy ani nie mogą ani nie chcą stosować się do postanowień traktatowych lub też zasad prawa międzynarodowego, ilekroć byłoby to uciążliwe lub niebezpieczne dla własnego dobrobytu lub bezpieczeństwa odnośnych państw”.

Z tego punktu widzenia przeszłość wszystkich państw przedstawia się jednakowo, nie ma państw uczciwych i nieuczciwych i, dla podkreślenia obiektywizmu angielskiego autora, zaznaczyć należy, że przytoczone przez niego przykłady niedotrzymywania zobowiązań międzynarodowych zaczerpnięte są z historii jego własnego kraju.

Układ stosunków międzynarodowych — przypomnijmy zdanie zacytowane na początku tego artykułu — kształtuje się pod przeważającym wpływem wielkich mocarstw, reprezentujących taki potencjał potęgi gospodarczej i militarnej, że mają one głos decydujący we wszystkich sprawach, w których są one zainteresowane. Ten stan rzeczy nie wynika z jakichkolwiek założeń moralnych, czy w ogóle normatywnych lecz ze struktury politycznej świata, będącej produktem praw historycznego rozwoju, a więc zadekretowanie jego zmiany w imię tych założeń jest *a priori* niemożliwością.

Gdy zatem Karta Zjednoczonych Narodów stanowi, że O.Z.N. „is based on the principle of the sovereign equality of all its members”, to przepis ten stanowi tylko formułkę prawną, mającą niewątpliwie znaczenie proceduralne, ale nie jest i nie będzie wyrazem rzeczywistości politycznej.

Państwa małe, nie mające dostatecznego potencjału sił gospodarczych i militarynych na to, by móc przeciwstawić się polityce państw silnych, zagrażającej ich interesom lub niezawisłości, nie mogą liczyć na zobowiązania tych ostatnich, mające zapewnić kolektywne bezpieczeństwo, zupełnie tak samo, jak w przeszłości nie mogły liczyć na zobowiązania uszanowania ich neutralności.

Jakąż więc droga stoi otworem przed tymi państwami, aby nie znalazły się one w położeniu np. Danii, która nie mogła nawet usiłować stawić oporu agresji hitlerowskiej, tak bardzo była bezbronna?

Prof. Carr daje na to odpowiedź tylko o charakterze zasadniczym. Narodowy charakter państwa, powiada on, jest przeżytkiem. Koniecznością rozwojową jest powstanie wielkich jednostek multi-narodowych, zcalenie Europy w organizacje, które będą mogły sprostać zadaniom nowoczesnego państwa i grać rolę samodzielnego czynnika w polityce międzynarodowej.

Ale próba utworzenia hitlerowskiej „Grossraumordnung” czy japońskiej „Co-prosperity sphere” zmierzała do zepchnięcia krajów podbitych do poziomu rezerwuaru pracy niewolniczej i kolonii dla Herrenvolku. Wcześniejsze przykłady mocarstw, opartych na wielojęzycznych masach ludności przymusowo wcielonych w drodze podbojów, jakkolwiek nie mogą być postawione na tej samej płaszczyźnie, co hitlerowskie barbarzyństwo, są odstrasającym przykładem organizacji państwowej, której ludzkość nie chciała znieść i nie zniesie. Jakkolwiek wspólnota narodów europejskich musi być w dobie wysokiego stopnia świadomości narodowej i społecznej, zrzeszeniem opartym nie na ucisku i eksploatacji jednej grupy przez drugą, lecz na równości praw i możliwości rozwoju. Na oczach naszych odbywa się teraz dalszy ciąg emancypowania się narodów azjatyckich. Jednoczesne zepchnięcie do poziomu wyzysku kolonialnego jakichkolwiek narodów Europy trudne jest do pomyślenia. Dlatego niewątpliwie jakiegokolwiek przyszłe zjednoczenie tych narodów w ramach szerszych niż państwa narodowego nie może być oparte na podporządkowaniu drogą przemocy interesów jednego społeczeństwa drugiemu. Charakter trwały posiadać może tylko unia zapewniająca każdemu z członków należyty udział w wynikach osiągniętych przez nią we wszystkich dziedzinach życia.

Jednakże odpowiedzi na pytanie, gdzie są elementy polityczne takiej unii, Carr dać nie może. I zdaje się, że w ramach ustroju społecznego, który ma on na oku w swych dociekaniach, odpowiedzi nie ma. Można się zgodzić, że dalszy rozwój instytucji międzynarodowych tego typu, co t.zw. „techniczne” organy Ligi Narodów, z Międzynarodowym Biurem Pracy na czele, doprowadzi do przejęcia przez nie niektórych funkcji, obecnie wchodzących w zakres działania poszczególnych państw, zwłaszcza tam, gdzie obecne państwa narodowe funkcjom tym nie są w stanie sprostać. Lecz podstawową charakterystyką tych instytucji międzynarodowych jest, że nie uszczuplają one suwerenności żadnego z państw i wobec tego nie mogą stać się elementem struktury politycznej Europy. Można się zgodzić, że grupy regionalne państw rozwiążą przynajmniej niektóre problemy międzynarodowej współpracy. Ale i wówczas daleko jeszcze będzie do zcalenia Europy, będącego warunkiem koniecznym rozwoju cywilizacji.

Wojna nie toczyła się o przywrócenie stanu rzeczy czy to ostatniego dwudziestolecia, czy tym mniej „złotego” wieku

liberalnej demokracji. Próba konsolidacji stosunków międzynarodowych nie może więc zmierzać do wskrzeszenia przeszłości lecz oparta być musi na nowych podstawach, odpowiadających nowemu obliczu świata. Ale konsolidacja stosunków międzynarodowych jest częścią składową procesu historycznego i podobnie jak i inne jego elementy podporządkowana jest temu, co zwykliśmy nazywać prawami historycznymi. Nie może ona więc być przedmiotem dowolnych projektów czy szlachetnych improwizacji.

Dlatego żadna droga nie wiedzie do niej przez błyskotliwe lub pociągające koncepcje „Zjednoczonych Stanów Europy” czy „Powszechnej Unii Federalnej”. Celem realnym będącym dziś do osiągnięcia, jest takie kształtowanie stosunków międzynarodowych, by odparowywać niebezpieczeństwa nowych zatargów zbrojnych, dopóki narastające siły postępu nie staną się dość potężne, ażeby zapobiec katastrofie trzeciej wojny światowej. Wymaga on jednak nie malowania miraży z happy-endem lecz mozolnego poznawania rzeczywistości procesu historycznego, a więc rewidowania i przewartościowywania nowych pojęć, by dotrzymywały one kroku jego dialektyce.

MARIA FIDERER

NA ZAMKU MACBETHA

SZKOCJA LUTY 1946.

Rzeka Tweed dzieliła niegdyś szczepy Szkotów i Brytyjczyków. Potem stała się mniej lub bardziej uznawaną granicą pomiędzy dwoma suwerennymi królestwami, które, jak zawsze w historii walczyły o supremację czy o niepodległość. Historia wspomina, że w czasie tych walk jeszcze Edward I gromadził swe wojska właśnie nad rzeką Tweed aby zmusić Szkocję do hołdu lennego, a przede wszystkim do płacenia lennych podatków. Zawarta dobrowolnie w 1707 roku Unia była zwycięstwem zasady wolnego handlu i tendencji do swobodnego przekraczania, lub znoszenia wszelkich granic celnych cechującej obie grupy porozumiewających się Whigów — angielską i szkocką. Unia ta, jak twierdzi Trevelyan (English Social History) dla Szkocji oznaczała prawie całkowity zanik życia parlamentarnego które tu zresztą nigdy nie było bujne, ale w zamian za to kraj ten dostał się na angielskie rynki kolonialne. Przywilej ten pozwolił mu wydobyć się nieco ze skrajnej nędzy.

Ale rzeka Tweed nie przestała być linią demarkacyjną. Mimo, że zdegradowano ją do wytycznej geograficznego podziału na Anglię i Szkocję, w dalszym ciągu „dzieli dwie kultury, dwie różne postawy społeczne, dwie tendencje psychiczne”. Na południe od rzeki Tweed porridge jada się z cukrem, na północ — ze solą.

Wielu ludzi powierzchownych albo zbyt mało subtelnych mogłoby twierdzić, że różnica ta jest całkowicie bez znaczenia, ale dowiedli by tym tylko swego niezrozumienia spraw najbardziej istotnych i różniących się tak zasadniczo, jak smak soli różni się od smaku cukru. Sprawy te stanowią paragraf kodeksu praw obywatela, a ilość mleka do herbaty, czy przyprawa

jakiej używa do śniadaniowego porridge'u jest równie ważna i uznawana z milczącą aprobatą, jak jego przekonania polityczne, lub przynależność do kościoła.

Tak więc porridge staje się punktem wyjścia dla badań terenowych i pierwszym problemem, który należy wyjaśnić kiedy się wjeżdża w brudny, hałaśliwy i oblepiony reklamami dworzec Glasgowa. Metoda ankietowa nie daje rezultatu. Kelnerka w restauracji zapytana o wyjaśnienie przy śniadaniu patrzy na mnie z niepokojem. „Its lovely, Isn't it?” Myśli bowiem, że porridge mi nie smakuje.

BARDZO BRZYDKIE MIASTO

Krajobraz wnosi w rozważanie nowe elementy. Glasgow jest największym po Londynie miastem Zjednoczonego Królestwa, brzydkim, czarnym, wilgotnym od szkockiego deszczu, który pada systematycznie co parę godzin po parę godzin. Mimo swej pozycji w przemyśle miasto robi zdumiewające prowincjonalne wrażenie zwłaszcza w niedzielę, kiedy przeważająca większość restauracji i kin jest hermetycznie zamknięta, a purytańskie rodziny szkockie ciągną gromadkami do kościołów. Być może jedynym lekarstwem na przytłaczającą szarą otoczenia są kolorowe kilty dżentelmenów odświętne ubranych i z dumą obnoszących rodowe tartany po przykościelnych ulicach. Ale kilty spotyka się teraz coraz rzadziej, zwłaszcza w Glasgowie, jako strój w gruncie rzeczy niepraktyczny a bardzo kosztowny ze względu na bardzo dużą ilość materiału i kuponów.

Uniwersytet glasgowski nie jest nawet jak na stosunki angielskie stary i tylko z obowiązku turystów i trochę dla pocieszenia stwierdzamy, że jest ładnie położony w dolinie rzeki a oglądany z góry parkowej wygląda dość monumentalnie. Ale na tym się kończy. Teatrów jest śmiesznie mało jak na takie duże miasto, bardzo dużo sklepów z normalnym zestandaryzowanym towarem. Wieki złożyły się na to, ażeby z Glasgowa zrobić stolicę skrzętnego handlowego i surowo religijnego drobnomieszczactwa.

Miasto uważane w okresie Restauracji za pierwszorzędne centrum handlu i przemysłu traci wiele w czasie głodu za Wilhelma. Rzeka Clyde jest wtedy dostępna jeszcze tylko dla czółen i łodzi. Wszyscy kupcy glasgowscy mają razem 1.182 tonarzu okrętowego. Mimo to Glasgow jest ostatnim etapem już wówczas znanej zachodniej cywilizacji przed zupełnie dziką, romantyczną i prawie legendarną krainą szkockich gór — Highland. Mieszkańcy są obyczajni, surowi w swej prezbiteriańskiej pobożności, prości w obyczajach, oszczędni w wydatkach i nieprzejednani trzeźwi.

Ale rok tysiąc osiemsetny przynosi wielkie zmiany. Historyk skarży się, że „miasto liczy osiemdziesiąt tysięcy mieszkańców wyraźnie podzielonych na odrębne grupy przez różnice bogactwa i obyczajów i nie ma już pomiędzy nimi klas społecznych sławnych tylko ze swej pobożności albo abstynencji”. Amerykański i Wschodnio-Indyjski handel głównie tytoniem i bawełną przekształcił Glasgow i całą Clydeside na przełomie stulecia w najbardziej nowoczesny w Anglii okręg przemysłowo-handlowy.

„Były tam wtedy sklepy dla zadowolenia wszystkich gustów pełne towarów z Anglii, Europy i Ameryki. Bywały lektyki i koncerty, bale, gry w karty i kości, poncz, wino i angielska literatura dla bogatych i Highland whisky dla ubogich”. Rzeka Clyde staje się wielką arterią nawigacyjną, na brzegach Clyde

wyrastają doki, w dokach Robert Napier of Schandon buduje pierwszy parowiec dla Cunard Company. Wreszcie Glasgow daje światu James Watt'a, a na glasgowskim uniwersytecie rozpoczyna wykłady Adam Smith wówczas już światowa sława w badaniu istoty bogactwa ludzkiego.

Dookoła doków rosną slumsy, a sytuację pogarsza jeszcze napływ irlandzkich robotników, tak, że w końcu dzielnice slumsowe stają się jeszcze gorsze od sławnych ze swego braku komfortu, ubóstwa i skromności najgorszych domów szkockich. Dziś obok tradycyjalnie purytańskich mieszczan widać wyraźnie tamtą, nową klasę. W każdym wylocie ulic wyrastają żelazne ramiona kranów dokowych, które sztywnie poruszają się na tle szarego i jednostajnego nieba. Cały Glasgow ujęty jest w oprawę poplątanych mechanicznych konstrukcji, rur i drutów o wysokim napięciu, kominów i dźwigarów, rurociągów i żelaznych rusz-towań.

Ta dla laika geometryczna łamigłówka jest do dziś ośrodkiem największej produkcji statków angielskich, z którego wyszły największe transatlantyki jak „Queen Elizabeth” i „Queen Mary”, aby raz jeszcze przypomnieć światu odwieczną zasadę że, „England rules the waves”, na pośmiewisko zuchwałej idei Jokóba IV, który w swym nieprzejednanym separatyzmie budował samodzielną szkocką flotę, aby współzawodniczyć z Anglią na morzach, na chwałę dyplomacji angielskiej, która tu, w centrum historycznej nienawiści i anty-angielskich kno- wań buduje podstawę swej morskiej potęgi.

Slumsy zaś w kolorowej różnorodności porozwieszanej na sznurkach białizny, powykrzywianych malowniczo ścian i dachów, mrowiącego się w błotnistych uliczkach codziennego za- absorbowanego tłumu, są bardziej jednostajne i podobne do sie- bie we wszystkich miastach, aniżeli jednorodzinne domki w londyńskich crescentach.

Slumsy ciągną się długo jeszcze wzdłuż asfaltowej szosy, przerwane miejscami przez puste rozległe place, porośnię sztywną, żółtą trawą na której pasą się kozy. To ślady bombardowań, które tu w pobliżu doków były ciężkie i skuteczne.

„LAND OF BROWN HEATH AND SHAGGY WOOD”

Dzisiejsi mieszkańcy slumsów i konsumenci słonego porridge'u mają wcale szlachetne parantele historyczne choć ich kroniki rodzinne i historia ich kraju zawsze mówiły o skrajnym ubóstwie tych ziem.

Zazdrośni a złośliwi Northumberlandczycy przez których wiodła droga do Szkocji zwykli byli ostrzegać nielicznych podróż- nych z Południa, że „Szkocja jest najbardziej barbarzyńskim krajem na świecie”.

Może nawet nie była tak barbarzyńska, jak przede wszystkim uboga. W osiemnastym wieku roczna renta 500 funtów uważana była tutaj za niepomierne bogactwo, przeciętny dochód wynosił 50 funtów, a bardzo wielu drobnych właścicieli (bonnet-lairds) zadawało się 25-ma funtami i tym co dawała ziemia nieurodzaj- na, kamienista i twarda, zdatna raczej na pastwiska jak pod uprawę. Wszystko to trzeba pomnożyć przez dziesięć, aby otrzymać dochody ówczesnej szlachty angielskiej.

Szkoci uprawiali swą ziemię przy pomocy możliwie najbardziej prymitywnych metod. W dodatku często kilku farmerów łączyło się w grupy dla wspólnej pracy na roli tak, że w wielu wy-

padkach 50-cio funtowy dochód z jednej farmy dzielił się pomiędzy dwunastu jej współposiadaczy. Ludzie stali prawie zawsze przed katastrofą głodu, który co jakiś czas wybuchał z całą siłą niehamowaną przez sąsiadów Anglików i powodował naprzód wysoką śmiertelność, potem wzmogoną emigrację.

W Szkocji jeszcze dziś spotyka się mało ziemi uprawnej. Maszerując na małą górską wycieczkę widzi się po obu stronach asfaltowej szosy, za niskim kamiennym murkiem zieloną i rudą szorstką trawę, rzadkie krzaki i drzewa, a cyfry powiadają, że na 19 milionów hektarów powierzchni jest tylko 3 miliony ziemi uprawnej. Do dziś jeszcze 5 milionów Szkotów jest mniejszością gatunkową w swym kraju wobec 7 milionów swoich własnych owiec, których stada spotyka się wszędzie.

Ale owce nie dają renty gruntowej i są podstawą dość prymitywnego gospodarstwa pasterskiego toteż trudno się dziwić, że herbata w tym kraju uważana była za bardzo cenne i odpowiednio drogie lekarstwo, a głównym pożywieniem ludzi był porridge. Nie jest wykluczone (choć historia o tym nie wspomina), że równie cenną i rzadką przyprawą był cukier zwłaszcza w porównaniu ze solą którą Szkoci wydobywali u siebie.

Kraj więc, mimo sławnej szkockiej gościnności, która każdego przybysza karmiła wędzonym łososiem i zalewała piwnym cienkuszem własnej produkcji nie cieszył się popularnością. Najwyżej 12 podróżnych na rok zaglądało tutaj dla przyjemności, wymiana towarów do czasu Unii była bardzo niewielka, poczta londyńska miała często tylko jeden list do Edynburga.

Ubóstwo pociąga za sobą jeszcze inne braki i niedogodności. Nawet Daniel Defoe, który miał sentyment dla rycerskich i uczciwych Szkotów mógł ich bronić używając tylko takich argumentów: „Gdyby jakikolwiek inny naród miał żyć w tak nieszczęśliwym położeniu, myślę wśród gór i skał, przy braku wody i wielkich trudnościach w przyniesieniu nawet małej jej ilości, mielibyśmy Londyn czy Bristol tak samo brudny jak Edynburg. Bo chociaż wiele miast ma więcej mieszkańców, jednak wydaje mi się, że w żadnym mieście na świecie tylu ludzi nie mieszka w jednym, tak małym pokoju”.

Wspólna nędza wpłynęła na to, że feudalny system szkocki był jednocześnie systemem bardziej patrymonialnym. I pan feudalny i ludzie dzierżący jego ziemię żyli w sąsiedztwie, we wspólnej trosce o chleb, czy porridge codzienny, a brak bogactw zacierał różnicę między ludźmi.

Trudno byłoby ustalić jakieś hierarchie przyczynowe, ale faktem jest, że w parze z surowym i ubogim trybem życia szła ich religia fanatyczna, surowa i pełna bigoterii, która szybko skostniała w system norm, nakazów i zakazów święcie przestrzeganych. Normy religijne sprawiły to, że Szkoci uważani byli powszechnie za ludzi bardzo uczciwych, wśród których rabunki i włamania były prawie nieznanne i nawet w miastach domy zostawiano otwarte, choć policja zbrojna była tylko w halabardy.

Z drugiej strony jednak stolica Szkocji cierpiała wskutek tego na wieczne zacofanie rządzona przez twarde prawo religijne zakazujące w niedzielę tańców i przedstawień teatralnych „A w sabath próżniaczego wyglądania przez okno”. Walki religijne były tu ostre i fanatyczne.

„Bieda i religijny fanatyzm ponad wszystkie inne różnice ukształtowały narodowy charakter Szkotów jednocząc ich wszystkich w moralnym i intelektualnym antagonizmie do bo-

gatej i bardziej libertyńskiej cywilizacji na Południe od gór Cheviots.

Jeszcze za czasów Wilhelma powieszono w Edynburgu nieśczęsnego studenta który wyraził jakieś swoje wątpliwości co do Trójcy Świętej i autorytetów Pisma w sposób, który w ówczesnej kawiarni londyńskiej wywołałby tylko grymas niezadowolenia." Dopiero rewolucja przemysłowa i rewolucja obyczajów rozślawia uniwersytet edynburski słynny ze swej szkoły filozofów z nazwisk Huma, Robertsona i Douglasa Stewarta.

Dopiero z końcem XVIII wieku śpiewane w ich szorstkim języku ludowe ballady stają się początkiem wielkiej literatury Burnsa i Scotta.

Jeżeli krajobraz niepocięty kominami fabryk i niemierzony w akрах uprawnej roli mówi coś o charakterze ludu który go zamieszkuje, to góry szkockie są takie właśnie smętne i dzikie jak ludowe ballady. Jezioro Loch Lomond przewala się szarymi falami i pianą zalewa brzeg. Ben Lomond stoi sam jeden srebrny od śniegu, dziwnie alpejski wśród innych gór różowych i rudych od trawy, czy wrzosu. Czasem, kiedy spoza płynącej mgły błysnie słońce, kolory nabierają ostrości i intensywności w chłodnym przejrzystym powietrzu, a „kraj brunatnego wrzosu i kosmatych drzew" wygląda jak kolorowa ilustracja do powieści Scotta.

ROZWÓJ SOCJALIZMU OD UTOPII DO RZECZYWISTOŚCI

W połowie XVIII wieku pobudowano także drogi wiodące w serce gór, do Highlandu w którym dotychczas żadnym konwenansem ludzi z Dolin nie skrepowane żyły z rabunku i wojen pół dzikie klany podlegające bezapelacyjnej jurysdykcji Szefa.

Handel idący drogami, napływ handlujących Anglików, podniesienie się stopy życiowej, większy przyrost ludności, pierwsze wyraźne zarysowanie się różnic klasowych — wszystko to razem spowodowało gwałtowny odpyw wojowniczych górali w doliny w poszukiwaniu nowych możliwości życia. Część z nich wcielono do Regimentów Korony gdzie dobrze i dzielnie zasłużyli się Imperium, część zatrzymała się aż w Ameryce, a potem w Kanadzie. Część, zapełniając nowe doki i nowe fabryki stała się nową klasą społeczną którą tak żywo interesował się Engels.

W owym to czasie, w latach 80-tych XVIII stulecia, na południowy-wschód od Glasgow, w New Lanark niejaki David Dale pobudował przędzalnię bawełny i osiedla dla robotników. Wspólnikiem jego był Mr. Robert Owen, który jednak, włożywszy tylko trzy tysiące funtów na sześćdziesiąt, niewiele miał do gadania. „Inni kupowali Lanark jako przedmiot interesu i spekulacji, a nie teren eksperymentów socjalnych. Owen miał na te sprawy inne poglądy ale przeważnie musiał je zatrzymywać dla siebie" (G.D.H. Cole: The Life of Robert Owen).

Owen przyznaje jednak, że od razu miał inne zamiary aniżeli jego szanowni wspólnicy. „Moim zamiarem było nie tylko zarządzać przędzalnią bawełny, tak jak to zwykle w tym czasie robiono, ale wprowadzić zasady postępowania z ludźmi, które już zacząłem stosować z dobrymi rezultatami do robotników w fabryce Mr. Drinkwatera, zmienić ich warunki bytu, ponieważ jak to widziałem żyli w warunkach, które miały szkodliwy wpływ na całą ludność New Lanark" (The Life of Robert Owen Written by Himself).

Rzeczywiście ówczesne stosunki w przemyśle pozostawiały wiele do życzenia. Ludzie którzy w poszukiwaniu pracy przychodzili tutaj z Highlandu nie mieli domów, żyli w straszliwej nędzy i brudzie, systematycznie upijali się bardzo złą wódką, prowadzili dalej zaciekłe swoje stare spory religijne, które po nadużyciu alkoholu doprowadzały do krwawych bijatyk i wszyscy zgodnie nienawidzili przędzalni. Przędzalnie zresztą chętniej zatrudniały kobiety i dzieci zwłaszcza tak zwanych parish apprentices, młodzieńców w wieku od lat pięciu do dziesięciu (oficjalnie nazywało się to od lat sześciu do dwunastu) których parafie na zasadzie prawa ubogich oddawały do fabryk. Młodociągni pracowali zwykle trzynaście godzin na dobę i po jakimś czasie karłowacieli, idiocieli, albo uciekali do Glasgowa na poszukiwanie przygód, które zwykle kończyły się bardzo prozaicznie w więzieniu.

Owen przyglądał się temu wszystkiemu, a potem nieuzbrojony jeszcze w naukową teorię socjalizmu tak ocenił rzeczywistość: „Cały system produkcji był bardzo zły. Wszystko urządzili i wszystkim kierowali ludzie o bardzo przeciętnych umysłach przyzwyczajeni do bardzo prymitywnych warunków. Zdecydowałem więc, że trzeba przede wszystkim skończyć z zatrudnianiem dzieci, które Mr. Dale już zakontraktował w parafii, że domy i ulice wsi trzeba naprawić i ulepszyć oraz wybudować nowe i lepsze mieszkania dla ludzi, których się tu sprowadzi na miejsce zatrudnionych obecnie dzieci. Wnętrza przędzalni trzeba przebudować, a stare maszyny zastąpić nowymi. Wszystkie te zmiany trzeba przeprowadzić w miarę powiększania się zysków przedsiębiorstwa”.

Znacznie później Owen dodaje niepozbowione sensu, choć dopiero potem usankcjonowane rozważanie: „Pierwszym moim zadaniem było uczynienie niezbędnych kroków, aby zmienić bardzo złe warunki życia ludności na lepsze... ponieważ jest niezbitym prawem natury, że jakie są okoliczności i warunki w których człowiek przeżywa swe życie, takim człowiek musi się stać. Ten eksperyment w New Lanark był pierwszą praktyczną próbą zmiany podstawowych zasad na których dotychczas opierało się społeczeństwo od swych początków. Nie można sobie wyobrazić eksperymentu który by w sposób bardziej oczywisty wykazał, że charakter kształtuje się dla człowieka a nie przez człowieka, że społeczeństwo posiada teraz wszystkie środki i siłę aby ulepszyć charakter każdego przez reorganizację społeczną.

W chwili, kiedy autorytety świata przekonają się o nieobliczalnych korzyściach, które powstają na stałe dla wszystkich przez oparcie organizacji społecznej na właściwych zasadach — nie będzie trudności w stwarzaniu dobrego i wartościowego charakteru dla wszystkich i w zorganizowaniu społeczeństw w których będą tylko dobre warunki”. (The Life of Robert Owen Written by Himself, London, 1857.)

Dziś w naszym brzydkim sloganowym języku powiedzielibyśmy po prostu „byt kształtuje świadomość”, ale w każdym razie musimy przyznać, że wszystko to nie jest ani utopijne, ani co więcej pozbowione aktualnego sensu.

Po dorzuceniu jeszcze kilku retorycznych pytań w rodzaju: „Co to są złe, a co dobre warunki? Jak trzeba pokonać złe przy pomocy dobrych, w pokoju, z korzyścią dla wszystkich, w powszechnej zgodzie?” — Owen zabrał się do roboty. Rzeczywiście przebudował przędzalnię, ulepszył maszyny i rozpoczął edukację robotników. Wybudował lepsze domy, otworzył szkołę, założył

sklepy w których lepsze towary sprzedawał po cenie kosztu, propagował higienę i pewne zasadnicze normy etyczne. W fabryce założył „Księgę Charakterów” i wprowadził specjalny system oceny robotników. Był to zawieszony przy każdym nazwisku na tablicy czworobok o ścianach niebieskiej, żółtej, białej i czarnej. Każdy kolor oznaczał stopień oceny robotnika, zmieniał je kierownik przędzalni, ale robotnikom służyło prawo odwołania się do Owena. A Owen był łagodny, wyrozumiały i sprawiedliwy. Robotnicy nie wydawali się tym wszystkim specjalnie zachwyceni. Nic dziwnego, ludzie bowiem wyraźnie nie lubią żeby ich uszczęśliwiano na siłę, zwłaszcza jeśli szczęśliwość pojęta jest jako częsta kąpiel i abstynencja. Ale Owen nie był takim utopistą za jakiego uważał go Engels, nie zakazał bowiem całkowitej sprzedaży wódki, tylko w sklepach firmy sprzedawał — znacznie lepszą.

W oczach otoczenia Owen był wtedy jeszcze tylko udanym businessmanem, który wykazywał przy tym bardzo ludzkie cechy, przekształcił bowiem stopniowo New Lanark w najnowocześniejsze, a z konieczności pamiętania o swoich wspólnikach, najbardziej rentowne przedsiębiorstwo.

Dopiero po roku 1813 Owen stał się osobistością znaną publicznie a New Lanark miejscem tłumnie odwiedzanym, w dodatku miejscem o które toczyły się zajadłe spory. Przedtem jeszcze energiczny przedsiębiorca zdołał pozyskać sobie robotników. Było to w roku 1806, kiedy Ameryka wskutek jakichś nieporozumień politycznych z Anglią nałożyła embargo na bawełnę. Ceny surowca na rynku angielskim skoczyły tak gwałtownie w górę, że produkcja przestała się opłacać, zwłaszcza, że liczono się z ponowną obniżką cen materiałów po zniesieniu embargo.

Owen zamknął przędzalnię, ale przez całe cztery miesiące wypłacał robotnikom pełne płace jedynie za doglądanie i czyszczenie maszyn. Wypłacił tak około siedmiu tysięcy funtów, ale zyskał popularność. Dopiero jednakże później spółka, do której należał, między innymi, Jeremy Bentham pozwoliła Owenowi na przeprowadzenie zasady, że „wszystkie zyski przedsiębiorstwa przekraczające 5% od kapitału inwestycyjnego rocznie przeznaczają się na religijne i moralne podniesienie robotników oraz kształcenie całej gminy”.

Mimo tego edukacyjnego „hobby” Owen podniósł zyski przedsiębiorstwa tak, że lepiej niż wszystkie inne przetrwało kryzys 1816 roku a równocześnie skrócił czas pracy do jedenastu i pół godziny, lub, dwunastu z przerwami na posiłki, sprowadził stałą opiekę lekarską, założył kasę oszczędności a okoliczny las uczynił parkiem publicznym. Chociaż robotnicy pracowali na akord, to jednak skrócony czas pracy nie zmniejszył ich zarobków, ponieważ zwiększył ich wydajność.

Głównym jednak zainteresowaniem Owena była oświata, zwłaszcza dla dzieci. W 1816 roku przedłożył mieszkańcom New Lanark „Address to the Inhabitants of New Lanark of the Opening of the Institution for the Formation of Character”. Czarno na białym było tam wypisane, że nie można zatrudniać dzieci poniżej lat 10-ciu, ponieważ do tego wieku przędzą misternie przez Owena zaplanowaną edukację, która w lecie miała odbywać się na wolnym powietrzu i obejmować także gry i zabawy, grę na instrumentach, śpiewy i wycieczki. Dla dzieci powyżej lat 10-ciu Owen przewidział naukę wieczorną, a dla dorosłych ułatwienie systematycznego doksztalcania.

Ponieważ Owen był Anglikiem dodał na końcu, że żadnym ograniczeniom w ramach wykształcenia nie podlegają opinie prywatne i przekonania religijne.

Wszystkie eksperymenty Owena w zakresie ogródków dziecińczych były prawie współczesne do teorii Pestalozziego na kontynencie i doprawdy tylko przez Engelsa przywykliśmy uważać Owena za utopistę, a Pestalozziego za prekursora nowoczesnych metod wychowawczych.

Ale pośmierne nieporozumienia były tylko dalszym ciągiem trudności które Owen napotykał za życia. Miał on współnika niejakiego Allena, Kwakra, któremu edukacyjny modernizm w New Lanark bardzo się nie podobał. Po jednej z wielu swych wizyt w New Lanark wymógł na Owenie usunięcie z programu lekcji tańca, nauczanie śpiewu, ale tylko psalmów, a wreszcie zakaz ubierania kiltów i tunik klasycznych przez dzieci (które Owen wprowadził jako stroje gimnastyczne) ponieważ, jak twierdził „Jesteśmy zdania, że przystość wymaga aby wszystkie osoby płci męskiej z chwilą kiedy dojdą do wieku lat 6-ciu ubierały spodnie albo pantaloney”.

W końcu Owen zmuszony był wycofać swój udział pieniężny a potem całkowicie usunąć się z Lanarku. Kredytów na dalsze eksperymenty nie znalazł okazało się bowiem, że jego wysiłki nie ograniczały się tylko do nauczania niewinnych dzieci tańca i śpiewu. Jego częste wyjazdy do Londynu związane były ze sprawami znacznie mniej idyllicznymi. Tam to właśnie przewodnicząc pewnemu Kongresowi w roku 1833 wezwał robotników do stworzenia „Grand National Moral Union of the Productive and Useful Classes”, czyli krótko do połączenia się związków zawodowych, przy czym słowo „Moral” nie pokrywało się zupełnie dokładnie z ówczesnymi pojęciami moralności. Potem z tego długiego tytułu wyrosły zwyczajne Trade Unions do których napływały tłumy robotników. Owen utrzymał się jako przewodca związków tylko do roku 1834 potem jego ideę kooperacji zastąpili Chartyści swym atrakcyjnym hasłem walki klas.

Został po nim dokument „The Report to the County of Lanark” gdzie biednemu urzędnikowi który chciał się po prostu zapoznać z jakimiś technicznymi sprawami wypisał takie rzeczy: „Praca rąk ludzkich właściwie skierowana jest źródłem całego bogactwa i dobrobytu narodu. Najważniejszym problemem jest nie wyprodukowanie, ale rozdział tego co łatwo wyprodukowane być może.

Naturalną podstawą wartości jest praca ludzka. Można skalkulować i obliczyć przeciętną ilość pracy ludzkiej, a ponieważ stanowi ona istotę każdego bogactwa jej udział w wartości każdego przedmiotu także można obliczyć i ustalić tak, że wiadoma jest jej wartość w wymianie na inne dobra. Popyt na pracę ludzką nie będzie już dłużej zależał od kaprysu, ani też życie ludzkie nie będzie jak dotychczas zmieniającym swą wartość przedmiotem handlu. Klasa robotnicza nie będzie klasą niewolników zależną od sztucznego systemu płac bardziej okrutnego w skutkach aniżeli jakkolwiek system niewolniczy w okresie barbarzyństwa”.

Bardzo powoli z całym ceremoniałem parlamentarnego konwenansu, Anglia rzeczywiście zniosła pracę dzieci, rozbudowała związki zawodowe, zdobyła ustawodawstwo socjalne, a obecnie ciągle wśród uprzejmych ukłonów w stronę wysoce szanowanej opozycji upaństwowia cały szereg gałęzi przemysłu. Być może

Marks miał rację kiedy pisząc do przyjaciela uczynił wyjątek dla wyspy, która udzieliła mu gościny, i stwierdził, że prawdopodobnie nie będzie ona podlegała jego teorii przemian rewolucyjnych i swój rozwój ku socjalizmowi przejdzie zupełnie spokojnie.

* * *

Zdaje się jednak, że nawet w reformatorskich czasach Owena cukier nie przestał być produktem trudnym do nabycia, przedmiotem luksusu i zbytku.

Reverend Sir Micah Balwhidder, proboszcz parafii w Cayen-ville w pamiętnikach swych (*Annals of the Parish*) pod datą 1787 zanotował jak następuje: „Nie mogę pominąć w swych notatkach uwagi o zbytku jaki wkraść się pomiędzy członków gminy w owym czasie. Otwarto nowe drogi po których odbywał się ruch handlowy wozów i wózków, a nasi młodzi ludzie, którzy jako żeglarze zaciągnęli się na rzece Clyde wyjeżdżali na Jamajkę i do Indii Wschodnich przywożąc stamtąd stopy cukru i kawy w ziarnkach”. Rzeczą oczywistą z luksusu tego nie korzystali robotnicy w przedsiębiorstwach. Wielebny Micah Balwhidder wspomina w innym miejscu, że sam długo się bronił przeciwko tym świeckim pokusom zbytku i dopiero po wielu latach od zanotowanej daty pozwolił na ugotowanie w swej skromnej parafii — herbaty.

MIASTO WŚRÓD GÓR

Z tego co piszą kronikarze wnioskować należy, że w stolicy też nie było lepiej. Była ona ciasna i brudna, zgnieciona w murach obronnych, jedyne miasto domów czynszowych ze względu na brak przestrzeni mieszkalnej.

Dziś już oczywiście nic nie przypomina tej dawnej historii. Edynburg położony na stokach i w wąwozach jest przedziwnie pięknym miastem, rezydencją dziś już nie królów, ale jak twierdzą, rentierów i emerytów. Auld Alliance z Francją przeciwko wspólnej wrogiej Anglii pozostawiła swoje ślady.

Są to wieże najbardziej francuskiego baroku, białe i rzeźbione, które wspinają się na niebieskie krawędzie górskie, schodzą w dół i jak mosty zwodzone spinają ulice i uliczki.

Nad miastem, na bazaltowej czarnej skale stoi zamek, siedziba kolejno królów i buntowników panujących i najeźdźców. Z prาดawnej świetności jedenastego wieku pozostał jeszcze łuk romański w kaplicy świętobliwej królowej Margaret. Z bocznego i mrocznego skrzydła po wydeptanych schodkach wchodzi się do dużej komnaty w której Marii królowej Szkotów urodził się syn Jakób pierwszy król Zjednoczonych Królestw Anglii, Szkocji i Irlandii. Miejsce wieży Davida I porosło bluszczem, ale zębate mury przebudowywane po pożarach i zniszczeniach wojennych trzymają się mocno czarnego bazaltu, a piętnastowieczne działa „Baterii Półksiężycy” pilnie wypatrują wrogów przez ich otwory. Ale żaden wróg się nie zbliża, ani od strony dzikiego Highlandu ani od gór Cheviots. Nad zielonymi ulicami zapada spokojny wieczór. Tylko na tle czerwonego zachodu zamek czernieje groźną sylwetką, jak doskonała dekoracja do Szekpirowskiego dramatu, a po krążgankach i dziedzińcach krąży zapewne szalona Lady Macbeth ścierając z rąk krwawe plamy wielu królewskich zbrodni.

* * *

Tak oto ku zadowoleniu wielu marksistów udało mi się wyprowadzić słony porridge od „podstawowych warunków rozwoju kapitalizmu”, lub też „warunków bytu podstawowych mas społecznych”. Ale historia, nawet ujęta w żelazne, a elastyczne prawa dialektyki materialistycznej jest bardzo złośliwa zwłaszcza tu, w Anglii. Wcale nie jestem pewna, czy kiedyś nie okaże się, że słony porridge jada się w Szkocji na pamiątkę wypadku znanego każdemu dziecku, kiedy to jeden z królów zaferowany sprawami państwowymi przez omyłkę, nasypał do porridge'u soli zamiast cukru. Od tego czasu z uszanowania dla króla i z zamiłowania do tradycji cały lud Królestwa Szkocji wstrzymuje się od spożycia cukru i soli swój porridge codzienny. Tutaj taka rzecz jest nie tylko możliwa ale nawet ma pewne precedensy o których lepiej zamilczeć, aby nie psuć radości marksistom.

KAROL ESTREICHER

Z M I A N Y

VI

Obejmując się jak bracia ucieszyli się wzajemnie. Ksiądz Anselmo zestarzał się, posiwiiał, pochylił się ku ziemi, a jego pomarszczona twarz zżółkła, tak że prałat Matusik z trudnością poznał w nim swego dawnego nauczyciela którego pamiętał mężczyzną w sile wieku, wykładającego z zapalem neoscholastyczną filozofię i zwalczającego modernizm. Tylko ta sama przenikliwość czarnych oczu pozostała niezmieniona u księdza Anselma, a może nawet zaostrzyła się bardziej. Tak samo przykuwał wzrokiem jak wtedy gdy wykazywał swym młodemu uczniom niebezpieczeństwo doktryny księdza Loisy.

Lata przecie minęły od tego czasu. Nowe idee wyrosły, nie te którymi witano rodzące się stulecie. Modernizm złamany został u podstaw dzięki dogmatowi nieomyślności. Summa św. Tomasza, ten system skończony i zupełny, doskonały bo w łasce poznania napisany, zwyciężył raz jeszcze niedopuszczając do jakiegokolwiek wyłomu w twierdzy wiary. Jednego z jej obrońców, czujnego stróża, stróża pełnego najgłębszej, uświęconej wiedzy, obejmował właśnie ksiądz Matusik, kornie chyląc się przed nim. Prałat Anselmo Carraccioli reprezentował dla pielgrzyma z Polski te najwyższe czynniki teologiczne Rzymu, pilnujące w natchnieniu bożym czystości doktryny.

Prałat Carraccioli był już od lat emerytem a nazwisko jego było sławne w nauce. Odkrył w bibliotece Watykanu szczyłek koptyjskiej wersji Apokalipsy, jeden z najstarszych fragmentów, był autorem wielkiego dzieła o neoplatonizmie i świetnej rozprawy o społecznych poglądach św. Tomasza, rozprawy na którą sam kardynał Mercier wielokrotnie się powoływał. Spędzając w bibliotece watykańskiej dnie całe, studiując Ojców i Doktorów Kościoła prałat Carraccioli baczył także pilnie na ostatnie prądy filozoficzne i moralne nurtujące myśl światową. Zdarzało się dość często że zarówno zmarły jak i obecny Ojciec Święty darzyli swą łaską starego uczonego. Czasami na tle zieleni ogrodów watykańskich obok postaci Ojca Św. w bieli widywano małą skurczoną postać księdza Carraccioli, gestykującego żywo, zapewne opowiadającego Papieżowi co wyczytał w rzeczach wiary ostatnio. Tym niżej pochylał się przed nim ksiądz Matusik,

wiedząc że niegodny jest takiego przyjaciela, że umysł jego nie dostaje do jego umysłu.

Mówili przeszło godzinę, pytali się o nowiny na polu Kościoła i wiary. Ksiądz Carraccioli opowiadał o wojnie, o tej strasznej rozterce jaka zapanowała między katolikami, krwawiąc serce wszystkich prawdziwych wyznawców, o demoralizacji jaka musi być następstwem każdej wojny a szczególnie tak krwawej i bezbożnej jak ostatnia. Ksiądz Matusik opowiadał mu o Polsce nie tając wszystkich swych obaw, przedstawiał mu walkę jaką przyszło toczyć narodowi w imię Chrześcijaństwa, cud Boży nad Wisłą, a wreszcie szczegółowo i dokładnie zrelacjonował co dokonano w Polsce na polu kooperatyw katolickich, jak organizacje te okazały się skuteczne w walce z socjalizmem, komunizmem, wolnomularstwem i żydostwem.

Tematem który ich długo zatrzymał był stosunek Watykanu do Niemiec i Austrii, do Francji i Belgii i nie bez zdziwienia przekonał się ksiądz Matusik że sympatie rzymskiego prałata były różne od poglądów o jakie pomawiano kardynała Gaspari. Widocznie dobre stosunki które łączyły Carraccioli z kardynałem Mercier, bezwzględnie i namiętnie walczącego z Niemcami wywarły swój wpływ — pomyślał polski gość — widocznie protestantyzm północnych Niemiec zniechęcił Carracciolo do całego kraju, mimo że myśl katolicka zawdzięcza mu tyle.

— Tak to prawda że Nadrenia, Bawaria i Austria dawały silne oparcie Kościołowi, ale niestety ja boję się niemieckiego narodu.

— Dlaczego?

— Od lat uprawiają oni zgubną filozofię.

— Czy także katolicy?

— Nie wprost, lecz pośrednio tak.

— Groziła im rewolucja, którą przewyciężyli...

— Kosztem ustępstw na rzecz północnej doktryny pruskiej.

Mimo iż mówili długo i serdecznie, mimo iż ksiądz Matusik zwierzył swemu przyjacielowi cel pielgrzymki do Rzymu, pomimo iż nie taił przed nim swych myśli i uczuć, nie nawiązał z nim tej nici porozumienia jaką był pewny że nawiąże. Częściowo przypisywał to starości czcigodnego prałata, którego umysł nie reagował już tak żywo na bieżące wypadki, a częściowo swej uzasadnionej nieśmiałości. Nie mógł wyzbyć się uczucia że siedzi ciągle przed swym profesorem, że jest jakby na egzaminie i nie miał tej pewności co wtedy gdy mówił z równymi sobie wiekiem i stanowiskiem. Od dawna nie zauważył, aby z takim szacunkiem, czią nawet, odnosił się do kogokolwiek jak do tego starca o zmęczonej twarzy. On który nawet wobec arcypasterza diecezji miał odwagę swe skromne zdanie wypowiedzieć i doradzać jak episkopat ma postępować, on który czuł się zawsze niezależny pośród kleru polskiego, tu w tym pokoju pełnym ksiąg, ozdobionym jedynie ciężkim krucyfiksem miał wrażenie że nie opowiada ale że zdaje sprawę i mimo woli baczył na to co mówi i jak mówi. A tamten życzliwie nachylony ku niemu, wpatrywał się pilnie bo być może słuch mu już nie dopisywał.

W pewnym momencie chcąc odwrócić rozmowę od siebie i swoich spraw, patrząc dokoła i widząc rozłożone książki ksiądz Matusik zapytał:

— A co wielebny ksiądz prałat studiuje teraz, jeśli pytanie moje nie jest niedyskrecją?

— Czytam Woltera raz jeszcze, już nie wiem który w życiu.

— Studiuje go ksiądz? — jakby mimo woli poprawiając powtórzył ksiądz Matusik.

— Nie, czytam go, i żałuję jak ten niewątpliwie zdolny a tak zagubiony umysł, zszedł na manowce fałszywej filozofii, jedynie przez pusty deizm. Jego koncepcja Boga, jako nieporuszonej istoty musiała doprowadzić go do goryczy, niewdzięczności, cynizmu.

Dla prostego a praktycznego umysłu księdza Matusika odpowiedź Carraccioli wydała się zbyt skomplikowana, zbyt paradoksalna. Czyżby ksiądz Anselmo upodobał sobie błyszczący styl tego największego wroga Kościoła? I zaraz uznał swe myśli za żarliwość pasterską, niebezpieczną, bo prowadzącą do podejrzliwości.

A Carraccioli jakby czytając w jego myślach mówił:

— Widzisz drogi bracie, czytam a nie studiuję Woltera, czytam go na gorąco tak jak go czytali współcześni. Przeniosłem się w jego epokę, po to by wykryć prawa, które przywiodły zło do chwilowego tryumfu Wielkiej Rewolucji.

— Czasy Woltera odległe, dziś grozi nam zło inne.

— Nie ma innego zła, tylko zawsze to samo. I prawa którymi się rządzi na ziemi są zawsze te same, choć zjawiska mogą być inne. Stąd wiedzieć możemy, w jakim kierunku świat pójdzie.

— Czyż możemy wyroki Opatrzności przeniknąć?

— Nie i nie próbujmy tego nawet. Możemy jednak poznawać i klasyfikować uczynki ludzkie.

— Pan obdarzył nas wolną wolą, sumieniem, sakramentami — powiedział ksiądz Matusik — a ja często opieram się na wierze. Nie na samej wierze oczywiście — dodał pośpiesznie — i wiem że bramy piekielne nie przemogą nauki Chrystusowej.

— A jeśli wiara oświeci rozum ten szlachteny zmysł dany nam od Boga, to możesz przewidzieć gdzie zło uderza i dokąd zaprowadzi człowieka.

— Przyznam, że boję się rozumowania.

— Niesłusznie, winno ono zawsze iść obok wiary. Przypomnij sobie principia św. Tomasza, oraz stosunek wiary i rozumu podany uroczyście przez Sobór Watykański. Przecie konstytucję „Dei Filius” czyta się jak stronice z św. Tomasza. Kościół głosi tam że choć rozum sam nie wystarcza by prowadzić człowieka, że choć potrzeba objawienia, to musimy troskliwie odróżnić prawdy poznawane rozumem od wyższych prawd mistycznych poznawanych przez objawienie. Że secundo rozum i objawienie choć są różne nie przeszkadzają sobie. Że tercio wiara broni rozumu przed błędem i że rozum musi służyć wierze. Pięknie i jasno i przekonywująco tłumaczy to św. Tomasz.

Ks. Matusik gubił się w gąszczu tych rozmyślań. Przeszkadzał mu także język włoski, którym nie mówił dość wprawnie. Stracił w tej rozmowie wątek i dlatego pochylając się przed dawnym swym nauczycielem powiedział:

— Wiem, wiem że Bóg oświeca sąd nasz, gdy znajduje nas przygotowanych. Lecz czemu wielbny ksiądz prałat mówi to z powodu Woltera.

— Bo czytam Woltera a nie studiuję go, studiowanie zachowując dla tych, którzy byli „piórem w ręku Boga” jak to pięknie określił św. Hieronim.

— Co daje lektura Woltera dzisiejszemu myślicielowi? To zapomniany pisarz.

— Pchnął on w pewnym kierunku wypadki polityczne, jak jemu podobni pchają je dzisiaj. Czytając Woltera widzę dokąd idziemy, dokąd zająć musi świat jeśli odrzuci moralność chrześcijańską i służyć będzie za cel szyderstw i krytyki Wolterianom.

— A tym głównym niebezpieczeństwem?

— Pycha. Pycha jednostek i gromad, widzących cel w sobie samych, wbrew powszechności praw boskich i ludzkich jakie Kościół głosi. Nie tylko pycha poznania płynąca z faktu, że wiedza stojąca do dyspozycji człowieka zwiększyła się, nie tylko pycha że znamy lepiej mechanizm społeczny i ekonomiczny świata, ale także pycha wodzów i narodów wynoszących się nad inne. Ta ostatnia zawiera w sobie groźne ziarno na przyszłość. Jak za czasów Woltera samolubstwo dworów i monarszy egocentryzm i zepsucie kleru dawały mu w rękę ostrą broń, tak za naszych czasów pycha narodów rośnie dostarczając argumentów wrogom.

— Faszyzm? — zapytał głośno i nie bez otwartego zdziwienia ksiądz Matusik.

— Tak, to preludium niegdyś Machiavellego, ta choroba naszej epoki groźniejsza jest dla mnie niż materializm. Boję się bardziej nacjonalizmu czyli pychy i samolubstwa narodowego niż eudajmonizmu szerzonego przez dziejowy materializm.

— Dlaczego?

— Bo z pychą jednostek i narodów Kościół nie może się pogodzić. Nie ma w ewangeliach i w nauce Kościoła, w tradycji wiary i w dziejach myśli apostołskiej, nie ma nigdzie styczności z pychą ludzką, z wynoszeniem człowieka czy ludzkich zbiorowisk nad inne. Wprowadzając równość wszystkich wobec Boga Kościół tym samym odrzucił ich odmienne predestynacje z rasy czy historii płynące.

— Lecz materializm bytu jest groźny?

— Oczywiście, jak zawsze groźne są te doktryny, które wyrwane zostały z Ewangelii i są jednostronnie oświetlone. Sprawiedliwość bytu, równość ekonomiczna to drobna część nauki Kościoła o miłości i miłosierdziu, o braterstwie ludzkim w życiu prowadzącym do zbawienia. Oświetlona fałszywie jest godną zwalczania i to czyni Kościół. Lecz nigdy nie może katolik pochwalać pychy człowieka wobec człowieka, nienawiści narodów wobec narodów, nierówności jednych wobec drugich.

Ksiądz Matusik jakby chciał przerwać, lecz cofnął się.

— Nigdy Kościół nie pochwalił egoizmów narodów, nie pogodził się z jego nauką. I w miarę jak będzie wzrastać ta choroba naszego pokolenia będzie musiał rosnąć wobec niej opór Kościoła.

Ksiądz Matusik spojrział z wyrzutem w oczy starego prałata, że zwalcza grzech lekki przesadzając jego rozmiary i niebezpieczeństwo, podczas gdy omija grzech ciężki śmiertelny, materializmu, niewiary w Opatrzność dbającej o byt i sprawy ludzkie na tym śmiertelnym padole. Wydało się księdzu Matusikowi, że starzec lekceważy niebezpieczeństwo przywiązania człowieka do życia, co odbić się musi na sprawie jego zbawienia.

Carraccioli raz jeszcze odczytał jego myśl.

— To nie jest lekki grzech jakby raniący duszę, lecz nie oddzielający jej od Boga. Nacjonalizm to grzech ciężki, który musi prowadzić narody do zguby.

Groził katastrofą:

— Przypomnij sobie list św. Pawła, pierwszy list do mieszkańców Salonik pisany. Tam w rozdziale drugim gani apostoł żydów i przepowiada im ich los.

Ksiądz Matusik ożywił się:

— Tak pamiętam. Tam właśnie św. Paweł mówi prawdę o żydach, wiecznie aktualną prawdę.

— Aktualną nie tylko dla nich. Dla wszystkich co postępują

tak jak oni postępowali w starożytności. Wiesz że ten list Pawła to jeden z tych nielicznych dokumentów Chrześcijaństwa, które autentyczności nie zaprzeczają nawet modernistyczni, protestancy historycy spod znaku Harnacka. Twierdzą tylko że w rozdziale drugim ów ustęp o żydach jest interpelowany już po 70 roku, po katastrofie jaka spotkała żydostwo.

Temperament Carraccioli zapalił się żywym ogniem gdy doszedł do tego miejsca. Równocześnie obok filozofa stojącego na straży czystości doktryny obudził się w nim historyk. Pragnął ilustrując listem św. Pawła swoje myśli, równocześnie jeszcze jeden dowód wysunąć przeciwko tym którzy chronologie i autentyczność nowego Testamentu podważają: Mówił:

— Wypadki wokół nas dostarczają jeszcze jednego dowodu że ustęp o żydach we wspomnianym liście jest autentyczny. Wypadki świeże, na które patrzemy dzisiaj.

— Jak to? — pytał ksiądz Matusik.

— Popadli w nacjonalizm. Sprzeciwiali się powszechności słowa, zabraniając aby jednoczyć człowieka w imię Boże. Stawiali się przeciwko wszystkim, o sobie myśląc tylko. To wypominał im św. Paweł i groził katastrofą. Czy trudno mu było przewidzieć co stanie się z żydami, że spadnie na nich niebezpieczeństwo, że ściągną je na siebie? Czy dlatego że przewidział w natchnieniu skutki nacjonalizmu żydowskiego, słowa jego mają być później wymyślone? Przeciwnie, my dzisiaj którzy w tej samej jesteśmy sytuacji jaśniej niż kiedykolwiek przewidujemy katastrofę, jaka spadnie na tych co sprzeciwiają się bożej powszechności człowieka i jego braterstwu?

Ksiądz Matusik pomyślał że prałat Carraccioli mówi to wszystko czyniąc aluzje do Włoch a daleki od chęci dyskusowania wstał i zaczął żegnać się z nim. d.c.n.

DAVID LAZER

CHRAPUSTA

Autorowi „Księdza Ułasa” Ksaweremu Pruszyńskiemu, który historię tę o Chrapuście o ileż lepiej opowiedział.

Największy poeta hebrajski Ch. N. Bialik był w Polsce po raz ostatni późną jesienią 1931, na trzy lata przed śmiercią. Objechał kilkadziesiąt miast i miasteczek, zwiedził wszystkie większe skupienia żydowskie, wygłosił szereg odczytów literackich, odbył niezliczoną ilość spotkań z pisarzami, ludźmi nauki, sztuki, kultury, wizytował szkoły hebrajskie, nasłuchiwał się mnóstwa przemówień na bankietach i przyjęciach, urządzanych na jego cześć (m.in. zarząd PEN-klubu polskiego podejmował go), zwiedzał ważniejsze zabytki historyczne, entuzjasmował się Wilnem i Krakowem, zachwycony był wielickimi Salinami, kiedy jednak opuszczał Polskę po parutygodonowym pobycie, zapytany przez jednego z dziennikarzy warszawskich, co na nim największe wrażenie wywarło, odpowiedział:

— „Z tego wszystkiego co w Polsce widziałem, największym przeżyciem dla mnie było spotkanie moje w Krakowie z polskim hebraistą Władysławem Chrapustą. Hebrajszczyzna jego jest po prostu zachwycająca i ożywcza dla duszy. Już pierwsze jego słowa, wypowiedziane w mojej obecności na zebraniu hebraistów w Krakowie, wzruszyły mnie do głębi. Życzyłbym sobie, ażeby więcej było takich jak on wśród nas z młodzieży — żydowskiej”.

Owo zebranie w Krakowie, na którym po raz pierwszy ujrzałem Chrapustę, mam dotąd żywo przed oczyma. Było sobotnie popołudnie, takie właśnie, jakiemu Bialik starał się w ostatnich latach życia nadać szczególną treść duchową. Pomyślane to było jako próba oderwania się od spraw powszednich, od codziennych trosk i zajęć, od doczesności samej, by przenieść się w regiony ducha, w nastrój odświętny, oparty na tradycji ojców. Z inicjatywy Bialika powstała swego czasu w Palestynie instytucja specjalna, poświęcona właśnie wskrzeszaniu tradycji sobotnich popołudni („Oneg Szabbat”), znalazł się też mecenas, który ufundował w Tel-Awivie budynek przeznaczony specjalnie na zebrania sobotnie, odczyty, pogadanki i tym podobne imprezy.

Atmosfera tedy sobotniego popołudnia, w takim pojęciu jakie mu uświłował nadać Bialik, panowała na owym zebraniu krakowskim w dużej sali Żydowskiego domu akademickiego. Świateł nie zapalono jeszcze, nie tyle może dlatego, że w sobotę świateł zapalać nie wolno, ile by nie psuć nastroju, — i wśród jesiennego mroku, po ciemku niemal, wypowiedział Bialik z humorem i wdziękiem literacką gawędę, która wywołała zachwyt powszechny. Po czym zapalono światła i zaczęła się druga część zebrania. Chodziło o propagandę hebrajskiej książki. Korzystając z pobytu znakomitego poety, który zarazem był współwłaścicielem wielkiego wydawnictwa książek, postanowiono zorganizować akcję, mającą na celu zwerbowanie stałych subskrybentów książki hebrajskiej, którzy za miesięczną opłatą otrzymywać będą pewną ilość najnowszych publikacji. Na ten temat był specjalny referat, była też nieodzowna dyskusja, która wlokła się dość ociężale i nieciekawie — po prostu zaczynało być nudno.

Sala ożywiła się dopiero, kiedy przewodniczący zebrania oznajmił, że głos ma teraz „adon Chrapusta”. Ten i ów znał już to nazwisko, wtajemniczeni wiedzieli, że jest to znakomity hebraista — Polak z krwi i kości, byli jednak tacy, którym nazwisko to było obce, nieznane, egzotyczne niemal w tym środowisku. Sam Bialik, który znużony widocznie zebraniem, dość często dyskretnie ziewał, teraz ożywił się nagle. Nie wiedział nic o Chrapuście. Chrapusta? Polak? Czegóż on tu chce na zebraniu miłośników literatury hebrajskiej? Co ma do powiedzenia, i po jakimu przemówi na tym czysto hebrajskim zebraniu?

Lecz oto sam mówca stanął już na podium — niski, z głową ostrzyżoną przy skórze i zadartym nosem, typowy syn chłopski, — i pokłoniwszy się przed Bialikiem, powiedział właściwie jedno tylko zdanie, rzecz jasna, najczystsza hebrajszczyzna, ale to taką, która w podziw wprawiła i poetę samego i wszystkich zebranych. Zdanie wypowiedziane było nie tylko świetnie. Powiedziane było tak, jak właściwie nikt dzisiaj po hebrajsku nie mówi. Ksawery Pruszyński, gdyby się znał na tym, powiedziałby, że była to hebrajszczyzna — „poprawna, może zanadto poprawna; lśniła gramatyką, niczym drzwi świeżo malowane błyszczą od nieobeschłej farby”.

Zdanie wypowiedziane przez Władysława Chrapustę lśniło nie tylko gramatyką; lśniło Biblią w oryginale, lśniło przede wszystkim świeżością, niespodziewanym ujęciem, zrozumiałym i możliwym do odczucia tylko dla wytrawnego stylisty hebrajskiego. Tak nie mówią ani gimnazjaliści hebrajscy w Tel-Awivie czy w Jerozolimie, ani w ogóle „sabry”. Tak mówi tylko człowiek uczony w piśmie, który mimo gruntownego znawstwa mało co miał dotąd sposobności porozumiewania się danym językiem. To tak, jak gdyby ktoś nie znał, lub jak ów sienkiewiczowski osadnik z Maripozy — zapomniał żywego języka polskiego i posługiwał się wyłącznie polszczyzną Biblii ks. Wójka. Najczystsza tedy hebrajszczyzna biblijną oświadczył wówczas Chrapusta:

— Lubo z pnia izraelskiego nie jestem, przedsię niechaj imienia mego nie braknie śród wpisanych.

Tak można by od biedy stylem biblijnym polskim oddać zdanie wypowiedziane po hebrajsku przez Chrapustę na owym zebraniu w Krakowie.

Czyż można się więc dziwić, że takie wrażenie wywarło na Bialiku? Czy można się dziwić, że nawiązał się od tej chwili dość ścisły kontakt znakomitego poety z synem chłopskim, który nad wyraz trudny dla obcego język hebrajski opanował znakomicie. Bialik zaprosił Chrapustę do siebie, a po wyjeździe z Polski pozostawał z nim w kontakcie. Zaczął też Chrapusta z zachęty Bialika tłumaczyć na język polski niektóre utwory poety pisane prozą, głównie legendy biblijne, tłumaczył wyjątkowo świetnie, z doskonałym wycuciem ducha obu języków. Szczególnie przekład „Legendy trzech i czterech”, który pojawił się w odcinkach na łamach krakowskiego „Nowego Dziennika”, wywołał powszechny zachwyt znawców literatury hebrajskiej.

Nazajutrz po owym zebraniu spotkaliśmy się z Władysławem Chrapustą w jednej z krakowskich kawiarni na Rynku głównym i odtąd pozostawaliśmy już w stosunkach dość bliskich. Przy „małej czarnej” opowiedział mi Chrapusta dzieje swego życia. Pochodzi ze wsi pod Tarnowem, z rodziny małorolnego chłopca. W domu panowała bieda, dzieciaków sporo, na naukę pieniędzy nie było, młody Władek zaś garnął się do książek. Przedsiębiorczy chłopak wiejski zdaje się na los boży: ucieka z domu do Tarnowa. Z trudem zarabia na utrzymanie pracą fizyczną, a po nocach uczy się gorliwie. Wkuwa kurs gimnazjalny, dziwnym trafem jednak pociąga go najbardziej — stenografia. W tym widzi swą karierę i przyszłość, osiąga też znaczną biegłość w tej dziedzinie, z biegiem czasu nawet zdobywa jakieś stenograficzne rekordy. Zdaje się, że redaguje nawet jakieś fachowe pismo dla stenografów, odbijane na powielaczu.

Nadchodzi rok 1914. Wojna. Chrapusta jest w sam raz właśnie w wieku poborowym i przywdziewa mundur austriackiego landsturmisty. W pewnym momencie jest z oddziałem swym we Lwowie, skąd wyruszyć ma na front. Przed odjazdem kompanii zachodzi Chrapusta, już w mundurze polowym, do jednego z antykwariuszów lwowskich, chcąc wybrać sobie parę książek na drogę. Traf zrządza, że wpada mu do ręki polski podręcznik nauki języka hebrajskiego. Przygląda się od niechcenia hebrajskim literom, i — jak to po wielu latach opowiadał — „urzekły go” nieznanie mu dotąd znaki pisma hebrajskiego po prostu już swoim wyglądem, swoim „krojem”. Chrapusta kupuje ów podręcznik, który towarzyszy mu potem na froncie, gdzieś na śnieżnych szczytach Alp, gdzie jako stenograf jest w służbie łączności przy obsłudze radiotelegrafu. Z łatwością opanowuje alfabet hebrajski i sztukę czytania i pisania — na więcej narazie nie starcza możliwości ani czasu. Ale wzbudzone raz zamilowanie nie gaśnie. Po zdemobilizowaniu wraca Chrapusta do kraju i w Krakowie zarabia na życie stenografią. Ale równocześnie u najlepszego pedagoga hebrajskiego uczy się z zapałem gramatyki i języka hebrajskiego. Czyni doskonale postępy mimo wielkich trudności, jakich nastęrcza ten język semicki, — i z wolna, po latach studiów, dochodzi do takiej wprawy, że może swobodnie mówić i czytać starą i nową literaturę hebrajską. Właśnie w czasie naszego spotkania recytował Chrapusta z przejściem początek wielkiego poematu Szneura o Wilnie, po czym przeszedł do innych utworów poetyckich, które znał na pamięć.

Obok zamilowania do języka hebrajskiego, miał Chrapusta i inną jeszcze pasję. Skupywał książki hebrajskie. Wszystkie skromne dość oszczędności szły na ten cel. Zwłaszcza kiedy jako znakomity stenograf objął w „Illustrowanym Kurierze Codziennym” dobrze płatną posadę telefonisty i odbieracza radia, księgozbiór jego hebrajski powiększał się szybko, mogąc rywalizować z biblioteką niejednego wytrawnego hebraisty. Wspaniała kolekcja wszelakiego rodzaju starszych i nowszych słowników (m.in. Thesaurus Tetius Hebraiose Linguae), encyklopedii, starych konkordancji biblijnych, komplety czasopism literackich, wreszcie klasyczne dzieła starszej i nowszej literatury były chlubą i dumą zapalonego

hebraisty-Polaka, który ten swój z dużym trudem i wielkim nakładem kosztów zdobyty księgozbiór otaczał jak najtroskliwszą pieczę. Księgarze na Kazimierzu i Stradomiu znali i cenili Chrapustę: był ich najwierniejszym, najlepszym klientem. Żadnych innych uciech nie uznawał, żył jak asceta. Każdy zbędny grosz szedł na książki, głównie na książki hebrajskie, choć oczywiście i polskich zakupywał sporo. Skromne mieszkanie jego przy ul. Szujskiego w Krakowie nie miało prawie żadnych innych mebli, poza półkami na książki. Gdy miejsca nie starczyło, układał Chrapusta książki swoje w przedpokoju, w skrzyniach. Ogółem zebrał do wybuchu wojny ponad pięć tysięcy tomów.

Zrazu dla ćwiczenia, z czasem zaś już z czystego zamiłowania zabrał się Chrapusta do tłumaczenia na język polski szeregu cenniejszych utworów literatury hebrajskiej. Tłumaczy przede wszystkim prozę, przy czym najbardziej odpowiadają mu pisane biblijnym stylem legendy Friszmana i Bialika. Ale i poezja pociąga go z biegiem czasu. Natchniony patos proroczy poematów palestyńskich Uri Cwi Grinberga odnajduje w Chrapuście znakomitego odtwórcę. Planuje nawet Chrapusta wydanie tomu przekładów żarliwego piewcy wskrzeszenia „królestwa trzeciej świątyni”, jakim jest N. C. Grinberg, poeta młodo-hebrajski, który Chrapuście najbardziej przypadł do gustu.

Ale to nie wszystko. Obcowanie z nową poezją hebrajską nie przechodzi bez śladu na psychice artysty-tłumacza. Oto nagle zaczyna Chrapusta sam pisać wiersze — po hebrajsku! Pierwsze próby są jeszcze nieśmiałe i językowo dość niezaradne, ale dalsze już nabierają życia i poetyckiego wyrazu — są godne druku. Jakoż w wydawanym we Lwowie miesięczniku literackim „Hasselel” pojawiają się pierwsze oryginalne utwory poetyckie niecodziennego gościa na hebrajskim Parnasie — prostego syna chłopskiego ze wsi pod Tarnowem, Władysława Chrapusty. W jednym z poematów opisywał Chrapusta swą pracę w redakcji wielkiego dziennika; jak to w Pałacu Prasy, gdzie na najwyższym szczyście wieży (Bogiem a prawdą było to na dachu „Ikacowego” budynku) siedzi poeta przy aparacie radiowym, i przy szumie linotypów i maszyn rotacyjnych, wychwytuje z fal eteru wiadomości, natężając słuch, czy pokój zapanuje na ziemi, czy też zagłada grozi światu. Debiut poetycki Chrapusty wywołał duże wrażenie. Kilkakrotnie był zapraszany niezwykle debiutant na wieczory literackie, na których recytował swe wiersze hebrajskie. Od pierwszego znanego z nazwiska poety polskiego Władysława z Gielniowa aż do — Władysława Chrapusty ze wsi pod Tarnowem, nie było, zdaje się, poety-Polaka, który by „swych myśli przędę i swych uczuć kwiaty” wyrażał mową wiążaną hebrajską, choć w epoce humanizmu byli Polacy, którzy znali język hebrajski. Chrapusta był zapewne jedynym w swoim rodzaju unikatem.

Tu drobna, acz konieczna dygresja. Literatura hebrajska zna nie liczne wypadki, kiedy ludzie obcych narodowości o skłonnościach poetyckich opanowywali język hebrajski i pisali w tym języku oryginalne utwory poetyckie. W naszych czasach młoda Rosjanka Elżbieta Żurkowa, nauczywszy się języka hebrajskiego zaczęła w Moskwie od tłumaczeń z zakresu literatury hebrajskiej na język rosyjski, po czym przeszła na judaizm i wyemigrowała do Palestyny, gdzie dotąd pod pseudonimem „Eliszewa” zajmuje miejsce dość wybitne w młodej poezji hebrajskiej a także w krytyce literackiej. Otóż w przeciwieństwie do Żurkowej-Eliszewy, Chrapusta nie miał w sobie ani krzty jakiegoś „judaizantwa”. Był wierzącym katolikiem, i nie zdarzyło się jeszcze nigdy, by przechodząc obok jednego z licznych kościołów krakowskich, nie zdejmował nabożnie kapelusza. Owszem, interesował się ruchem syjonistycznym i Palestyną, marzył nawet o zwiedzeniu Ziemi Świętej, okazywał duże zrozumienie dla niedoli żydowskiej i oburzały go do żywego wszelkie przejawy nietolerancji i antysemityzmu, — pozostał jednak tym czym był: wiernym synem chłopskim, głęboko

wierzącym i praktykującym katolikiem. Polszczyzna zaś jego trąciła najczystsza, soczystą gwarą małopolską. Przeskoki, które czynił niekiedy w rozmowie — z języka proroków izraelskich do podtarnowskiej gwary, miały w sobie, drogą kontrastu, jakiś swoisty i wyrafinowany, powiedziałbym po prostu perwersyjny urok lingwistyczny.

Na dachu „Pałacu Prasy” siadywał Chrapusta godzinami w swojej ciasnej kabinie radiotelegrafisty, wychwytyjąc wiadomości z fal eteru, z wszystkich możliwych radiostacji świata, a nawet z tajemniczych sygnałów Morse'a. Depesze jego, sygnowane znakiem (ch) można było czytać w każdym numerze „Ikaca” — jako „specjalna służba radiotelegraficzna”. Z słuchawkami na uszach wsłuchiwał się w tajemnicze światy, stukania, odgłosy, znał wszystkie szyfry i „kody”, wiedział, jakie niebezpieczeństwa grożą radiotelegrafistom prasowemu ze strony wielkich światowych agencji telegraficznych, nadających przez radio serwis wiadomości dla swoich stałych abonentów oraz specjalnie spreparowane „kaczki” dla pogrążenia nieabonentów-radiopajęczarzy. Nade wszystko jednak, jak to opisywał we wspomnianym poemacie hebrajskim, natęzał słuch, „czy pokój zapanauje na ziemi, czy też zagłada grozi światu”.

Groziła zagłada. W czwartek po południu, w przeddzień wybuchu wojny zadzwonił nagle telefon w mieszkaniu. Szybko i dość nerwowo, jak zwykle, mówił Chrapusta — po hebrajsku. Doniósł, że znajduje się na placu Grobli w pobliskim gimnazjum Nowodworskiego (dawniej św. Anny), zamienionym teraz na koszary. Jest zmobilizowany i jutro zapewne wyruszy na front. Ponieważ nikogo już nie wypuszczają z koszar, prosił, bym przyszedł odebrać jego walizę z rzeczami, po które zgłosi się ktoś wieczorem.

Pobiegłem natychmiast. Chrapusta stał w bramie w polowym mundurze, w nowych juchtowych butach z cholewami, był poważny i skupiony. Zdolał powiedzieć mi tylko, że prawdopodobnie jeszcze w ciągu nocy wyruszy w kierunku granicy słowackiej. „Może pełnić będę służbę frontową w Tatrach, tak jak za tamtej wojny — w Alpach”.

Wieczorem, gdy siedziało się już przy oknach zasłoniętych szczelnie czarnym papierem z poprzyklejanymi na ukos paskami płótna, zjawił się jednak Chrapusta, wydębiwszy jakimś cudem przepustkę. Był zrównoważony i opanowany. „No cóż, wojna to wojna. Nie mam nikogo na świecie i żadnego niepokoju nie czuję. Przynajmniej wiem teraz o co się biję — i z kim”.

Jedną miał tylko troskę: książki. „Prosiłem sąsiadów — mówił nerwowo — żeby spakowali wszystko do skrzyń, i myślę, że nic złego się książkom nie stanie. Ale trudno pogodzić mi się z tym, że ja sam już tym się nie zajmę, i że te wszystkie książki, z takim trudem pouzbierane, będą się gdzieś może tulać po ludziach, czyjeś obce ręce, mieszające wartości tych skarbów, będą się tym zajmowały, i nawet przy pakowaniu nie będę”.

Jedną książkę przecież, okazało się, uratował — miniaturowe wydanie psalterza Dawidowego w oryginale hebrajskim. Miał książeczkę tę przy sobie w kieszeni munduru. Mówił, że z tym jednym się nie rozstanie.

W niedzielę, 3 września 1939 opuściłem Kraków. Władysława Chrapusty więcej już nie widziałem, nie dał też dotąd znaku życia. I nie wiem, czy miniaturowy psalterzyk, zabrany jako talizman na drogę, uratował go od „światowej zagłady”.



KSIĄŻKI I LUDZIE

WSPOMNIENIA Z MINIONYCH LAT

(ciąg dalszy)

Otoczmy teraz na chwilę starych uczonych i kuratora gromadą młodych umysłów i serc, które wtedy pracowały i biły dla Zakładu, wnosząc nie tylko dużo najlepszych chęci do pracy, lecz i dużo młodego tętniącego życia, w dostojne, a tradycją nieco omszałe królestwo książki.

Ilu nas razem było, na pewno nie wiem. Ale chyba kilkunastu. Zresztą cyfra i ludzie ulegali zmianom. Co roku ktoś ustępował, ktoś nowy przybywał, tak, że kolegowano się z starszymi i młodymi. Ten odchodził na „posadę”, czy musiał już cały czas poświęcić kończeniu studiów i egzaminom, czasem wyjeżdżał ktoś za granicę lub tylko na prowincję, na pierwszy własny chleb suplencki; za to zjawiały się młode „fuksy”, którym miejsce stypendysty w Ossolineum i tych parę guldenów od p. Bełzy miały ułatwić wgrzyzienie się w Uniwersytet.

Gromadka nasza była wszechobecna: większość przy obsłudze katalogu i wypożyczalni pod Hirschbergiem, kilku w oddziale katalogowania książek i czasopism pod Czarnikiem; jedni dyżurowali na zmianę w pracowni lub dodani byli do pomocy Bruchnalskiemu, drudzy pod Gubrynowiczem pracowali w Muzeum Lubomirskich. Przez cały ranek i południe szumiało od naszego gwaru i krętaniny po salach, niby od uwijania się i brzęczenia pszczoł.

A co to były za typki ciekawe, jakie wyklówające się nieraz indywidualności, jakie zacne, kochane, „gemby”, uśmiechające się do siebie i do idącego naprzeciw nich, nieznanego życia.

Widzę Was wszystkich w tej chwili przed sobą poprzez przestrzenie lat i doznanej doli. Widzę tych, co dawno już, lub niemal przedwczoraj odeszli, i tych, co są teraz gdzieś daleko. I tych, których oglądam często, spruszonych obficie taką samą, jak moja, siwizną. Dzisiaj widzę was wyraźniej, plastyczniej, gdy losy kazały mi — czybyście pomyśleli? — pracować znowu w tym samym naszym Ossolineum, może i przy tym samym, starym moim stoliku... Zdaje mi się czasem, zwłaszcza gdy sam tu siedzę, że któryś z Was, cieni lub żywych, wpadnie nagle z hukiem do pokoju i zawoła młodym głosem: „Staszek, na miłość Boską, kończ robotę, Hirschberg już poszedł na obiad, — przecież po południu mamy kolokwium u Kallenbacha. Tylko nie wygadaj się przypadkiem przed Bruchnąłą...”

Wśród starszych stypendystów rej wodziło kilku: Józef Zaleski, Tadeusz Raciborski, Stanisław Sołtys-Kozaryn i Jerzy Koller.

Przedwcześnie zmarły Józef Zaleski, syn wizytatora szkolnego Mieczysława, późniejszy skryptor i zastępca kustosa Ossolineum, był postacią niewątpliwie charakterystyczną. Do pracy naukowej pociągu nie miał, swoich studiów historycznych w uniwersytecie nie uwieńczył żadnym egzaminem; za to bibliotekarzem był zamiłowanym, bibliografem dobrym, urzędnikiem pilnym. Bajarz z niego był też pierwszorzędny, szczególnie gdy zaczął opowiadać o swym powodzeniu u kobiet i przygodach miłosnych. Naturalnie nie wierzono mu i „naciągano” go na ten temat, z czego nie wiele sobie robił. Pociągła jego twarz barwy oliwkowej, pocziwe oczy za szklami, i na pół zgasłe

cygaro w ustach — stanowiły nieodłączny element ówczesnego sztafażu ossolińskiego. Miał zawsze pod ręką mnóstwo nowinek, które zbierał podczas swej wielogodzinnej, codziennej włóczęgi po ulicach Lwowa. Całymi popołudniami i wieczorami. Z potwornie grubą, modną laską w rękę. Poza tym zbierał namiętne także exlibrisy, których cenny zbiór zostawił Ossolineum. Chłop był najzacniejszy, chociaż dogadywać i pokpiwać lubił. Wielkich aspiracyj życiowych nie miał, a Ossolineum i swoją pracę w bibliotece kochał całą duszą i tęsknił do niej każdych wakacyj, gdy wyjeżdżał nad Dunajec. Znał także, jak nikt z nas, usposobienie i dziwactwa naszych przełożonych i z prawdziwą maestrią umiał wśród nich lawirować; nawet, gdy kawały sobie z powag stroił, nie poznawano się na tym. Przywiązany głęboko do siostry, do chorego braciszka, mówił o nich zawsze z rozrzewnieniem; jakież był dumny, gdy jego ojciec został radcą dworu.

Lubiliśmy „Józia” wszyscy, a wiadomość, która nas doszła o jego śmierci w 1922 r., zasmuciła dawnych kolegów bardzo szczerze. Zgasł na gruźlicę, założywszy dopiero co własne ognisko rodzinne. I dzisiaj zdaje mi się, że jeśli czyj, to chyba jego cień, tego szarego, oddanego Ossolineum pracownika, błąka się czasem koło katalogu, zaglądając ciekawie, czy ci „dzisiejsi” robią tam wszystko tak dokładnie, jak za jego czasów...

Żywą, miłą postać Tadeusza Raciborskiego widziało się zawsze przy Hirschbergu. Bardzo zdolny w czasach uniwersyteckich pracownik, zapowiadający się doskonale młody historyk — stworzony był, jak to mówią, do tańca i do różańca. Wnosił w grono stypendystów wiele temperamentu i werwy; zadziwiał bystrością umysłu i dowcipem. Rozstał się niebawem z nami, objawszy posadę w gimnazjum na prowincji. Dłuższy czas był profesorem historii w Stanisławowie. Przepadł mi potem bez wieści.

Drugim takim ruchliwym żywiołem był nie żyjący już dziś Stanisław Kozaryn-Sołtys, z litewsko-polskiej rodziny, wybitny naówczas działacz wśród młodzieży narodowodemokratycznej, dostojnik na terenie „Czytelni Akademickiej”. Niski grubaśny, krótkowzroczny, za wcześniej łysiejący i bardzo nerwowy, należał Sołtys po trosze do „żelaznych akademików” na wydziale filozoficznym. Był polonistą, lecz interesował się wielu jeszcze rzeczami. Wcześniej puścił się na fale polityki, bawił się z pasją dziennikarstwem, publicystyką, nawet literaturą. Bywał w najszacowniejszych lwowskich domach swego obozu politycznego; w redakcji „Słowa Polskiego”, za Zygmunta Wasilewskiego czuł się, jak u siebie. Zawsze uśmiechnięty, dowcipkujący cicho, jakby pod nosem lecz pilnujący mimo swojej powagi, pochylał krótkowzroczne oczy nad pudełkami katalogowymi, mrużąc równocześnie opowiadania o ważnych wypadkach życia akademickiego, czy o „Kółku Literackim” Czytelni. Lubiło się go, bez względu na różnice polityczne, za jego sztukę życia z ludźmi, takt i brak częstej u rozpolitykowanej młodzieży ciasnoty. I za to że można z nim było popić i poweselić się. Życie nie ułożyło mu się potem po różach, chociaż sam może był temu winien, czy natura, którą przyniósł na świat. Po powstaniu państwa naszego pracował dość długo w Wilnie.

Odmiernym od nich wszystkich był Jerzy Koller, późniejszy skryptor Ossolineum, a ostatnio dyrektor Muzeum Wielkopolskiego w Poznaniu. A jakim był wtedy, takim został do dzisiaj. Ma się wrażenie, że się w ogóle nie postarzał, a zmienił tylko barwę włosów. Pracował wtedy w biurze Czarnika,

potem w Muzeum pod Gubrynowiczem. Zawsze elegancki, wytworny i dbający o siebie, z wystudiowanymi czarownie minkami oczu, uśmiechu i gestów, które stały się potem jego naturą, płynął balansującym kroczeniem po biurach, jak po salonach tych wielu domów, w których już wtedy bywał. Ujmował ludzi wybitną inteligencją, świetnym talentem urodzonego causeura najlepszej sorty, przerzucającego się bajecznie łatwo z tematu na temat, mimo pewnej rozlewności zawsze interesującego, niewyczerpanego w bystrych, kąśliwych spostrzeżeniach, wybrednym, satyrycznym dowcipie, trafnym wyczuciu komedii ludzkiej, rozgrywającej się dokoła. Już wtedy był ulubieńcem lwowskiego towarzystwa, a zwłaszcza pań, chociaż daleki od erotyki i chociaż jeszcze nie miał sławy niepośledniego wroża z ręki. Ten sam przemiły salonowiec miał jednak doskonale w głowie. Polonista szeroko czytany, dobry filozof, uczeń Pilata, Twardowskiego, Bruchnalskiego i Kallenbacha, zawsze miał ważkie słowo rzucić w dyskusjach seminaryjnych. Przed rygorozum filozoficznym chodziło się do Kollera, aby nam zawilsze kwestie powyjaśniał i przepytał z materialu. Niby na próbie generalnej. Wtedy też, za młodych naszych dni, zaczęła się w Kollerze wyrabiać i krystalizować jego życiowa i naukowa specjalność: krytyka teatralna. My wszyscy byliśmy namiętnymi wielbicielami teatru. A był to teatr Tadeusza Pawlikowskiego (potem Ludwika Hellera). Ale gdy wielu z nas zadowalało się tylko oglądnięciem interesującego spektaklu lub (co często bywało) głębokim subiektywnym przeżyciem wielkiej sztuki — uśmiechnięty, kłaniający na prawo i lewo ze swego fotela Jerzy Koller szedł do teatru z nastawieniem nie tylko łaknącego konesera, lecz i wnikliwego, coraz lepiej przygotowanego do swej roli krytyka. Nazajutrz, w dyskusji na temat sztuki i aktorów zdanie jego bywało nieraz najdojrzalsze i pełne trafnych uwag. Dzisiaj ma za sobą dobrych 30 lat na stanowisku recenzenta i krytyka teatralnego, stosi recenzyj, które złożyłyby się na dobre tomy „flirtu z Melpomeną”, a o życiu teatralnym polskim i dziejach aktorów, umie opowiadać ze znużeniem i równie zajmująco, jak o polskim życiu towarzyskim ostatniego 40-lecia we wszystkich ważniejszych środowiskach kulturalnych Polski. Boże, któż z nas nie ma swoich śmiesznotek! I Jerzy miał swoje, jak każda indywidualność. Kto jednak znał jego złote, koleżeńskie serce, zapominał o wszystkim i słuchał z rozkoszą jego niewyczerpanych, solą attycką zaprawnych, mówionych felietonów.

Ze starszych stypendystów, wybiegających już wtedy z Zakładu na pierwsze samodzielne stanowiska, tkwi mi jeszcze w pamięci kilka postaci. Zgryźliwy Czesław Nauke, dyżurujący w pracowni, argusowym okiem pilnował porządku wśród czytelników. Wybitny historyk i chyba jeden z najlepszych profesorów historii w polskich gimnazjach, miał w młodości usposobienie bardzo nierówne. Jakby chorował na śledzionę. My młodszy mieliśmy przed nim naprawdę mores. Bo raz psocił i żartował, a nazajutrz przychodził ciemny, jak chmura, dokuczliwy, oschły i robił ci trudności z jakimś głupim rewersem czy książką z „podręcznej”, aż człowieka diabli brali. Wiedzieliśmy, że pracuje naukowo, że ma wyjechać z ekspedycją rzymską do biblioteki watykańskiej, więc znosiło się te chimery.

Za to zrywaliśmy boki ze śmiechu, gdy opowiadał o figlach, płatanych swemu współlokatorowi i najbliższemu przyjacielowi, krótkowzrocznemu Tadeuszowi Urbańskiemu (późniejszemu

profesorowi gimnazjalnemu i zasłużonemu skarbnikowi Towarzystwa Historycznego). Raz napletli mu wieczór (bo ktoś tam jeszcze z nimi mieszkał), że w mieszkaniu straszny; schowali śpiącemu okulary, a potem cienkimi sznurkami poprzywiązywali poszczególne części jego garderoby i urządzili taką maszynię, aby za jej pociągnięciem przedmioty mogły nagle unosić się w górę. W nocy obudzono Urbańskiego, zwracając jego uwagę na podejrzone szmery. Zaspany, szuka na próżno szkieł, a wtem jak na komendę jedzie z wolna do góry naprzód jeden trzewik, potem drugi, potem ineksprymable, kołnierzyk, bielizna. Współtowarzysze symulują lęk przed niesamowitymi siłami i chcą uciekać z mieszkania. Skończyło się wreszcie na śmiechu figlarzy i irytacji poczciwego Tadzia.

Taki to był za młodu „kawalarz” z autora cennych prac naukowych i doskonałych podręczników historii. A potem, w szkole, nie pozwalał uczniom swoim ani mrugnąć i żądał, aby mieli powagę starych radców... Ale pewnie to przesada, drogi panie Czesławie?

Pracował jeszcze w Ossolineum Wawrzyniec Kubala, syn znakomitego historyka, później wybitny prawnik, wysoki, skupiony, czynny w licznych resortach polityki i oświaty akademickiej, jeden z przewodców młodzieży wszechpolskiej. Był Tadeusz Zapczyński, ludowiec, polonista, trochę dziennikarz, przede wszystkim oświatowiec — po latach kurator okręgu szkolnego w Łodzi. Miał miłą, otwartą twarz pogodnego blondyna, wymowne oczy i niezły dowcip. On to i mnie, grubasowi, nadał akademickie przezwisko, które przesła-
dowało mnie potem przez całe lata. Niech mu Ban Bóg wybaczy.
d.c.n.

MIECZYSLAW WIONCZEK

ZŁOŚLIWE BANKRUCTWO

Londyn, w kwietniu 1946

Można by dawno już całą sprawę emigracji przekazać do rozważania przyszłym historykom drugiej wojny światowej. Stany psychiczne i dalsze koleje kilku czy kilkunastu tysięcy emigrantów nie są sprawą na tyle ważną, aby poświęcać jej czas i uwagę w chwili, kiedy w kraju ważniejsze są prace do wykonania. Ale emigracyjni bankruci nie zrezygnowali z swej działalności i nie wiadomo jeszcze, czy szkody wyrządzone przez nich sprawie polskiej w ciągu wojny, większe są od szkód, wyrządzanych dzisiaj i możliwych do wyrządzenia w przyszłości bliższej i dalszej. W każdym razie ich pole działania większe jest niż wydaje się to nam, gdy patrzymy na „londyńczyków” z perspektywy kraju, gdzie „mit Londynu” którego skutki przeżywalimy na własnej skórze, uwiadł ostatecznie.

Dramat polega na tym, że niesławnej pamięci były Rząd Londyński wciąż jeszcze, jeśli nie w prawnym, to w faktycznym zasięgu ma takie pozycje, jak koło dwustu tysięcy żołnierzy polskich na zachodzie, ponad pół miliona Polaków w Niemczech, dziesiątki tysięcy na Bliskim Wschodzie i znakomita część dawnego wychodźstwa, idącego w miliony, w obu Amerykach.

Tego kapitału politycznego „emigracja londyńska” broni i bronić będzie wszelkimi siłami, nie przebijając w środkach, o czym świadczy gorączkowo ożywiona ich działalność we wszystkich ośrodkach emigracyjnych. Trudno zresztą oczekiwać najwyższej z cnót politycznych — cnoty rezygnacji od ludzi, którzy przez cały czas swego politycznego żywota wykazali wspaniałe współstnienie wszystkich możliwych błędów i wad. Rezygnować mogą tylko mężowie stanu, nie potrafią tego ani obłudni bankruci, ani pieniacze spraw przegranych, na które to dwie kategorie daje się podzielić prawie bez reszty elita „emigracji londyńskiej”. To, co po tym podziale pozostaje na zewnątrz, to masa ogłupionych, szarych ludzi, których zachloroformowano w ciągu ich pobytu na emigracji tak doskonale, że jeszcze dzisiaj, skoro potrafi się ich przypadkiem w tłoku ulicznym, lub zdraślnie w próbie dyskusji, potrafią wyrzucać z siebie tylko poszczególne zwroty, jakie utkwiły im w pamięci z wielokrotnych przemówień emigracyjnych wodzów i z lektury emigracyjnych gazet. Miesza się tu „silna, wolna, niepodległa” z „precz z obcymi agentami” i „świętego ciała Rzeczypospolitej nie szargać”, z „wysoko nieść będziemy sztandar”. Chloroform działa tym skuteczniej, im dalej od kraju znajdują się jego ofiary. Cóż tedy dziwnego, że na zgromadzeniach Polonii Amerykańskiej uchwała się niewysłanie paczek żywnościowych do rodzin w Polsce, a w osadach polskich we wschodniej Afryce, kobiety polskie, z napoły czarnym potomstwem, zanoszą przed wiejskimi ołtarzykami w dżungli modły do świętych pańskich, aby spuścili deszcz ognisty na wysłanników szatana, rządzących ich Ojczyzną (obie autentyczne historie, zaczerpnięte z prasy emigracyjnej). Te opary chloroformu unoszą się wciąż i nad wyspami brytyjskimi. Spróbujmy się przez nie przedzierać, aby oczami człowieka z kraju zajrzeć, co tkwi za nimi.

PARAWANY I RZECZYWISTOŚĆ

Przyznam, że pierwsze piśmienne relacje ludzi, którzy przybyli z emigracji zachodniej do Polski, przeszły stanowczo moje oczekiwania. Wiadomo było przedtem, że działy się tam rzeczy przykre, bezsensowne i niepojęte; przypuszczano, że wiele tam być musiało głupoty i złej woli. Wreszcie, nie było tajemnicą, że tak złożyło się, że na wyspach brytyjskich wyładowali w roku 1940 w większości ludzie o poglądach konserwatywnych, reakcyjnych, prawicowych, sanacyjnych, czy jak je nazwać, ale zawsze oczekiwało się, że są to ludzie o jakichś poglądach, coś reprezentujący, mający jakąś linię, jakąś mądrzejszą czy mniej mądrą rację stanu, obojętnie, czy przeciwną prawdziwej polskiej racji stanu, czy nie. Wydawało się więc, że te pierwsze relacje są przesadzone, przejaskrawione żalami osobistymi, czy też neoficką gorliwością. A jednak widzę dzisiaj, że nie były i nie są ani przejaskrawione, ani przesadzone. Po pięćdziesiątej chyba rozmowie z szarymi ludźmi z emigracji, którzy przyglądali się temu „sabatowi czarownic” z bliska, po przeczytaniu stosów wydawnictw emigracyjnych od dzienników do broszur politycznych i śpiewników harcerskich, nabrałem nawet przekonania, że wszystko, co pisano dotąd o „emigracji londyńskiej” jest równie blade i nieodpowiadające rzeczywistości, jak angielskie filmy o Gestapo — praktykom Niemców w krajach okupowanych. Żaden z rewelatorów kulisów emigracji nie potrafił oddać dotąd tej smutnej atmosfery politycznej, społecznej, intelektualnej

i moralnej elity emigracyjnej, która przez szereg najcięższych dla kraju lat niosła w jego imieniu „wysoko sztandar Rzeczypospolitej” i powiewała tym sztandarem przed oczami ludzi, którzy, bądź w kraju, bądź na wszystkich frontach świata ginęli, zasłuchani w głos londyńskich szatanów.

Z tych dzisiejszych rozmów z masą emigrantką wybija się na plan pierwszy jeden ponury fakt. Za zręcznym parawanem wielkich nazwisk: Paderewskiego, Liebermana, Sikorskiego, gdzie każdy z niewtajemniczonych w kraju i na emigracji miał coś wedle woli do wyboru, co należało szanować, od dnia przekroczenia przez oficersko-urzędniczy korpus sanacyjno-endecki granicy rumuńskiej, trwoniła ona całą swoją energię na grę o dwie stawki: miejsce na świeczniku i związaną z tym „dołą” — pewne kwantum franków, funtów czy dolarów z funduszków państwowych i subsydiów alianckich. Walkę prowadzono w tonacji ściszonej, ze względu na „honor państwa i emigracji”, ale była ostra i obfitowała we wszystkie możliwe metody utracania przeciwników od awantur zwykłych, przez szantaże i donosy do dyskryminacji politycznej i wojskowej. Tak w każdym razie wygląda nienapisana przez nikogo historia kulisów emigracji, o których opowiadają mi dzisiaj urzędnicy i maszynistki byłych ministerstw i wszelkich urzędów, młodzi oficerowie i zwykli szeregowcy. Opowiadają w zgrzyocie serca, są jednogłośni. O pułkownikach, którzy w białźnie dezertowali od swych oddziałów w kampanii francuskiej i odnajdywali się w pełni chwały w Londynie, o ministrach i dyrektorach departamentów, zatrudniających bliższe i dalsze rodziny przy tak ważnych pracach jak planowanie produkcji butelek do piwa w Polsce powojennej (autentyczne), o gratyfikacjach i funduszach specjalnych, o walkach Rubensa ze Strattonem, a Strattona z Rubensem i o wykańczaniu ludzi, którzy protestowali przeciwko „vie scandaleuse” elity. Mają materiału do godzinnych opowieści i wszędzie i zawsze wyskakują z tych opowiadań te same nazwiska, ci sami ludzie, ludzie zza parawanów, nam znani tylko z przedwojennej rubryki dzienników: życie oficjalne i widziani przez nas raz tylko — w czasie kampanii wrześniowej — z kuframi w urzędowych Buick’ach.

Nie było ich ani nad Wartą, ani pod Kutnem, ani pod Lenino, ani pod Tobrukiem, ani pod Monte Cassino, ani w inwazji, w czasie bombardowania Londynu mieszkali poza miastem, albo w luksusowych Court’ach. Ostatecznie wyszli z wojny nie gorzej, niż w nią weszli. Mimo klęski politycznej, moralnej, wszelkiej. Wyszli z pokaźnymi kontami w bankach. Sześć milionów Polaków straciło życie, żołnierze z frontów i ofiary obozów koncentracyjnych — zdrowie, mieszkańcy Warszawy i innych zniszczonych miast — mienie. Oni odkładali, tezauryzowali, kradli — jeśli kto woli. Dzisiaj tworzą dalej elitę emigracyjną. Są niezależni finansowo od nikogo, mogą spokojnie żyć, mogą działać. Chloroformują — oczywista — nie za swoje, prywatne pieniądze, głosząc całemu światu, że tylko oni i właśnie oni reprezentują niezależną, niepodległą nikomu, opinię polską.

Pytam moich rozmówców — dlaczego opowiadają te rzeczy dopiero mnie i dopiero teraz. Mnie, człowiekowi, którego nie widzieli przez sześć lat, bądź którego widzą po raz pierwszy w życiu. Dlaczego nie krzyczeli wtedy, kiedy to się działo. Twierdzą zgodnie, że było niesposób. Każdy głos opozycji wśród emigracji cywilnej — prowadził do pozostawienia człowieka

własnemu losowi, każdy głos opozycji w wojsku — do szykan osobistych, czy jakiegoś zakazanego garnizonu w szkockim Mołodecznie. „Rząd Londyński” miał sposób na przeciwników jako rozdawca „panis bene merentium” i jako rzecznik „dobrego imienia Polski”. Opornym odbierał chleb i oskarżał ich o szarganie „świętego majestatu Rzeczypospolitej”. Sposoby z dawna wypróbowane.

W świetle tych rozmów z masą emigrancą, wszystko jest teraz jasne. I ubezwłasnowolnienie Sikorskiego, i samobójcza linia polityczna i brak jakiegokolwiek programu społecznego poza rydzowskim „silni, zwarci, gotowi” i zmarnowanie wspaniałych możliwości propagandowych za granicą, wykorzystanych tak znakomicie przez emigrację czeską i niemiecką, i zmarnowanie młodzieży którą zamiast kształcić, zamieniano w przyboczne drużyny setek wyższych oficerów, których formacje pozostały po obu stronach zaleszczyckiej i francuskiej szos. I wreszcie dzisiejsza działalność elity oficersko-urzędniczej. Dla nich Polska, to żaden zespół problemów politycznych, gospodarczych i społecznych, to źródło zarobkowania, takie dobre, jak wszelkie inne, które wartoby odzyskać. A walczyć o nie mogą dalej, bo za plecami mają konta w bankach i bogatych wujów w Ameryce, co nie pozwoli im umrzeć z głodu, nawet po ostatecznej klęsce.

„NASZ PLAN OBRONY SZKOCJI”

Różne rzeczy widziała Wielka Brytania w czasie swego istnienia, ale polska emigracja polityczna i wojskowa (a raczej jej kierownictwo) nawet wyrozumiałych skądinąd Anglików, napawała najszczerzym zdumieniem. Kiedy pozostałe emigracje kontynentalne z „antynazistowską” emigracją niemiecką włącznie, robiły wszystko, aby w ciągu pobytu na wyspach jak najgłębiej dotrzeć do społeczeństwa, w którym się znalazły nasi politycy i wojskowi w poczuciu własnej, niepowtarzalnej wagi i dumy narodowej, usiłowali zachować swą, jakże śmiesznie pojętą, odrębność. I tu tylko fakt, że w megalomanii narodowej nikt pewnych warstw naszego społeczeństwa prześcignąć nie potrafi, może coś niecoś wyjaśnić. Emigracja polska w Anglii, tworząc, co wmawiano jej od września „integralne i pełne ciało Rzeczypospolitej (! ?)”, zamknęła się z własnej woli w ghetcie swoich naiwniutkich, idiotycznych czy reakcyjnych myśli, poglądów i przesądów.

Czyż nie jest tego doskonałym dowodem fakt, że nie chciano się oto uczyć języka angielskiego i punktem honoru zarówno dowódców jak i działaczy politycznych emigracji było posługiwanie się tłumaczami w stosunkach z Brytyjczykami. Kiedy młodzież emigracji opowiada mi dzisiaj jak wiele trudności musiała przewyciężyć, aby wprowadzić kursy języka angielskiego w wojsku, kiedy spotykam masami ludzi, którzy w ciągu sześcioletniego pobytu na wyspach brytyjskich ostatecznie nie nauczyli się tego języka, jakżeż mogą dziwić się temu, że emigracja nie potrafiła nauczyć się od Anglików innych, trudniejszych, tak cennych i wymaganych od każdego inteligentnego polityka rzeczy, jak — realizmu politycznego i angielskiego „common sense”.

Opowiadano mi o pewnym autentycznym wydarzeniu, które doskonale maluje stosunek emigracji do świata, w jakim się przypadkiem znalazła. Rzecz działa się — zdaje się — w roku 1941. Jedna z formacji polskich przejmowała od Brytyjczyków

odcinek obrony wybrzeża Szkocji. W rozmowach sztabowych używano oczywista tłumacza i kiedy wyższy oficer angielski nastawał na wykonanie pewnych ruchów oddziałów polskich, dowódca polski powiedział tłumaczowi: „Powiedz mu pan, żeby mi nie zwracał głowy. Nasz plan obrony Szkocji przewiduje co innego!”

Te „nasze plany obrony Szkocji” istniały w każdej dziedzinie. W ich wyniku zarówno rozwój wypadków wojskowych, jak i politycznych, najzupełniej zaskakiwał „emigrację londyńską”. Tak jak ostatecznie zaskoczyła ją Jałta i zwycięstwo Labour Party w powojennych wyborach. Wszystkie emigracje kontynentalne potrafiły nawiązać w czasie wojny kontakty z labourzystami. Nie potrafili, bo nie chcieli tego uczynić, jedyni emigranci polscy których mężami zaufania byli konserwatywni posłowie ze Szkocji postaci równie muzealne jak nasza „elita emigracyjna.”

Równocześnie ta sama elita powiewała przed opinią mas emigranckich i kraju swymi doskonałymi stosunkami z Rządem brytyjskim, biorąc w naiwności ducha za dobrą monetę sugestie czy wyniki rozmów z drugorzędnymi figurami konserwatywnego aparatu państwowego, który bądź coraz mniej miał wobec zmian wojennych do gadania, bądź przy całej swej reakcyjności miał poczucie rzeczywistości i łatwość przystosowania się do nowych warunków. Wszystkie propagandowe i polityczne wyczyny „rządu emigracyjnego” pokrywane były na zewnątrz tą właśnie „aprobatą” brytyjską. Wszelkie próby rozsądnej krytyki były duszone sugestiami — „nic nie dzieje się bez głęboko ukrytych przyczyn”. Tej krytyki było zresztą niewiele, było jej stanowczo za mało jak na zewnętrznie inteligentki charakter emigracji. Natomiast orkany krytyki wybuchały ilekroć w łonie „rządu emigracyjnego” przejaśniało się komuś w głowie, na krótko zresztą. Ataki Cata-Mackiewicza, rejtanowskie pozy „Wiadomości Polskich” i wydawanej przez Bieleckiego „Myśli Polskiej”, przy równoczesnych intrygach nieśmiertelnej „dwójki,” torpedowały wszelką próbę porzucenia „własnych planów obrony Szkocji”.

Już w roku 1942 można było wyczytać w obcojęzycznej prasie, wychodzącej w Wielkiej Brytanii, że uświadamia sobie ona przemiany społeczne i polityczne w podziemnej Europie. Kiedy przeglądam ówczesne emigracyjne pisma francuskie, belgijskie czy norweskie i polską prasę emigracyjną, różnice są tu zupełnie wyraźne. Ale nasza „elita londyńska” miała „swoją plan obrony Szkocji” także odnośnie sytuacji w kraju. Nie ulega wątpliwości, że w planie tym nie uwzględniano ani młodszego pokolenia emigracyjnego, poza adiutantami dostojników, ani sił społeczno-politycznych, wyrastających w ogniu walki podziemnej w kraju. „Nasz plan obrony Szkocji” obsadzał z góry wszystkie możliwe stanowiska w kraju po zakończeniu wojny „elitą emigracyjną”. Londyn miał wkroczyć nad Wartę z pełnym garniturem nie tylko ministrów i podsekretarzy stanu, ale wojewodów i starostów. „Kraju” nigdy poważnie nie brano w rachubę. A to już nie jest chyba ani polityką konserwatywną, ani żadną w ogóle polityką, a raczej koncepcją, wymagającą kiedyś jakiegoś wielkiego studium o patologii emigracyjnej.

Kiedy przyglądam się owocom działalności propagandowej „Londynu” w krajach anglosaskich, to stwierdzam, że kompleks antyrosyjski z polityków, to znaczy ludzi odpowiedzialnych za los państwa, czynił maniaków. Propaganda antysowiecka była jedyną niemal akcją polityczną. Wszystko inne, nawet zagad-

nienia polsko-niemieckie, nie były ważne i poza niewielu sprawiedliwymi (np. działalność publicystyczna autora szeregu angielskich broszur na te tematy, Józefa Winiewicza) nikt się tym na serio nie zajmował. Najwyższym osiągnięciem bywało więc dotarcie na łamy katolickiego „Tablet”, czy antysemitckiego „Truth”. Dziennikarz, czy pisarz wydrukowany w takim piśmie, chadzał miesiącami w obłokach emigracyjnej sławy.

Atoli większość inteligentnych Brytyjczyków czytywała inne własne tygodniki. Kiedy dużym nakładem pracy wydano wreszcie wielką publikację o terrorze niemieckim w Polsce, nie zapomniano jej rozpocząć przedrukiem encykliki papieskiej. Te kilka stron wstępu wystarczyło aby nikt w anglikańskiej i antypapistówskiej Anglii nie chciał wziąć, tej ważnej skądinąd, i cennej publikacji do ręki.

DUNKIERKA I MONTE CASSINO

Rozumni Cześci już w roku 1940 ulokowali całą swoją emigracyjną młodzież w wyższych uczelniach i zakładach przemysłowych Wielkiej Brytanii. Miała ona zastąpić straty inteligencji czeskiej w protektoracie i stworzyć nowe kadry wysoko wykwalifikowanych pracowników technicznych. W armii emigracyjnej odbywali służbę ci wszyscy, którzy się do czego innego nie nadawali. Starczyło tego na jedną zdaje się brygadę, która po bahaterskim oblężeniu i zdobyciu twierdzy Dunkierki wiosną 1945, powróciła okryta chwałą, do domu. Spotkałem i żołnierzy z niej i czeską młodzież z uniwersytetów angielskich w Pradze, już w lecie ubiegłego roku. Zabierali się właśnie do pokojowej roboty.

Całe nasze młode pokolenie emigracyjne spędziło, jak duch naszych dziejów tego wymagał, sześć lat wojny w wojsku. Rwali się do tego, trudno zaprzeczyć. Ale równocześnie nie wolno nie zauważyć, że do roku 1944 wydostanie się w Wielkiej Brytanii z wojska polskiego na studia było sprawą równie trudną, jak udana ucieczka z obozu w Oświęcimiu. I zdaje się, że liczebnie takich wypadków było nie wiele więcej. „Emigracja” zrzuca oczywiście winę na generała Sikorskiego, którego rzeczywiście obchodziła armia, armia i tylko armia. Ale zwalnianie, czy urlopowanie z wojska na studia nie zależało od podpisu naczelnego dowódcy, zwłaszcza po jego śmierci, kiedy stosunki w wojsku nie uległy żadnej zasadniczej zmianie. Ale nikt z wojska wydostać się nie śmiał, mówiąc stylem naszych oficerów, ponieważ tylko na Haiti armia składa się z samych wyższych oficerów. A wyższego korpusu oficerskiego polskiego w Wielkiej Brytanii wystarczało mieleddwie na obsadzenie wszystkich stanowisk w całej armii brytyjskiej. Tak tedy i docenci uniwersytetów, i doktoranci wszelkich dyscyplin, i młodzi inżynierowie i historycy sztuki, i magistrowie filozofii i młodzi maturzyści — spędzali całą prawie wojnę w obozach wojskowych Szkocji, posłusznie wprawiając się w arkana zamiatania baraków, marszów ćwiczebnych i sztuki dowodzenia pralniąmi wojskowymi ku chwale ojczyzny.

Kiedy mam teraz przed sobą wszelkiego rodzaju pomoce naukowe, jakie stosowano w pracy oświatowej w tym inteligentnym wojsku, naprawdę płakać się chce z rwącej wewnętrznosci rozpacz. Wolno przy tym przypuszczać, że osadzeni w niewoli niemieckiej żołnierze i oficerowie, pozostawieni sami sobie w pracy oświatowej, znacznie więcej wynieśli z niej korzyści dla

siebie i społeczeństwa, niż młodzież znajdująca się w wojsku w Wielkiej Brytanii. A równocześnie żalosna propaganda polityczna zrobiła tak wielkie spustoszenia w umysłach ludzi, którzy nawet potrafili się wreszcie wyrwać na studia wyższe, że fakt, że nie sposób z nimi dzisiaj rozmawiać na żadne, nie objęte programem prasy emigracyjnej tematy, nie może ani zaskakiwać ani dziwić. A jednak naprawdę rozmawiać z nimi nie sposób. Jest tej młodzieży akademickiej na studiach w Anglii około tysiąca. A więc swego rodzaju elita, której jednak sposobu powstawania nie udało mi się odkryć. Studiują w Londynie, Oxfordzie, Edynburgu, Glasgow, Aberdeen. Do kraju? Nie, do kraju nie pojedą w żadnym wypadku. Jakże można jechać do kraju, znajdującego się pod okupacją, do kraju, w którym za każdym rogiem czeka potencjalnie śmierć z rąk agentów? Co będą robić? Świat jest wielki. Kanada, Rodezja, Australia, Brazylia. Wszędzie potrzeba młodych inżynierów, czy lekarzy. Znają języki obce dobrze (ci nieliczni), mają, czy mieć będą dyplomy brytyjskich uczelni. Urządzą się jakoś. Europa jest już skończona, gruzy, ruiny, za wiele pracy, której nikt i tak ocenić nie potrafi. Martwią się czasami tylko losami pozostałych w Polsce członków rodziny. Zwłaszcza, jeśli ci mieli przed wojną jakiś folwarczek czy fabryczkę. Pewnie siedzą w więzieniu. No, ale trudno, zostali, los tak chciał. Ale żeby oni, młodzi, mieli kłaść głowę pod ewangelię? Nie, to nie ma sensu. A kiedy ich się za to atakuje, zasklepiają się w sobie, wężąc agentów, szukających naiwnych ofiar.

I tak się wszystko układa. Czeska Dunkierka, obok polskiego Monte Cassino. Czescy inżynierowie z londyńskich politechnik — w Pradze, nasi — w oczekiwaniu na statki do brytyjskich dominiów z pieśnią patriotyczną na ustach.

NOCNE Z RODAKAMI ROZMOWY

Ale jest jeszcze szara, emigracyjna masa ludzi, nie należących do żadnej z elit. Ci przychodzą wieczorami na rozmowy. Najczęściej telefonują przedtem z zapytaniem, czy mogą liczyć na dyskrecję. I na wstępie zastrzegają się równie dyskretnie, że nie chcieliby swoją wizytą nikomu w niczym zaszkodzić. Po czym zaczynają się użalać. Po pierwsze — na Anglię. Nie znoszą jej, mimo wygód w mieszkaniach, w metro i pociągach, nie mogą tu dłużej wytrzymać. Oni, mimo „demokracji doskonałej” — ludzie z zewnątrz, ludzie drugiej klasy. Poza tym Anglia ich oszukała i zdradziła. Przypominają gwarancje, przyrzeczenia, słowa Churchilla i wszystkich angielskich świętych. Żołnierze czy cywile, walczyli czy nie, ale zawsze nadstawiali karku także i za Wielką Brytanie, która im proponuje teraz ewentualnie prace w walijskich kopalniach węgla. I to nie na pewno jeśli wziąć pod uwagę ostatnie oświadczenie ministra Bevina. Po drugie — na Związek Radziecki, temu nie mogą darować niczego, ani linii Curzona, ani węgla, wywożonego za darmo, ani tych wszystkich „najprawdziwszych” historii, którymi nafaszerowany jest codziennie londyński „Dziennik Żołnierza”. Po trzecie — na Raczkiewicza et consortes, za to samo, co i my mamy do nich dozonną pretensję, a poza tym za różne prywatne większe czy mniejsze przykrości. Po czwarte — na kraj, że nie przemawia do nich tak ciepło, jakby tego wymagali. Po piąte — na tych członków rodzin, którzy radzą jeszcze trochę poczekać, aż się „sytuacja wyjaśni”. Po szóste — na mnie, że nie wiem,

co porabiają wszyscy ich kuzyni po mieczu i kądzieli. Są szczerze nieszczęśliwi, a poza tym rozumują naprawdę jak dzieci, mimo że spędzili szereg lat w krajach, które mogły sprzyjać rozwojowi umysłowemu. Po liście z Krakowa decydują się na powrót, po karcie pocztowej z Łodzi skłonniby jeszcze raz się zastanowić. Nie wierzą ani mnie, ani sobie, ani Nowakowskiemu, ani Kottowi. A wreszcie kiedy decydują się na powrót do kraju, to chodzą z miną spadochroniarza, który nie jest wcale całkiem pewien, czy po skoku spadochron się otworzy.

Ludzie chorzy psychicznie, żarci nostalgią za krajem, a równocześnie stoczeni przez „londyńską propagandę”, jak stare meble przez korniki. Ludzie, których na dobrą sprawę należałoby przed zaprzęgnięciem ich do jakiejś rozsądnej pracy, oddać na kilkanaście tygodni na wypoczynek do sanatorium w podgórskiej miejscowości. I najtrudniej zrozumieć im jedno: że naprawdę w kraju są poważniejsze zmartwienia i kłopoty od ich, urzędników dwunastej kategorii czy plutonowych-podchorążych, cennych osób i że naprawdę nie są, bo nigdy nie byli, pępkiem świata i ośrodkiem zainteresowania całego kraju i wszystkich władz. Siedzą do północy, czasami dłużej, zabierają chętnie do przeczytania gazety z kraju, są na wychodnym trochę spokojniejsi. Ale skoro rano przeczytają w „Dzienniku Żołnierza”, jak to żołnierze radzieccy przy pomocy milicji i służby bezpieczeństwa rozebrali bramę floriańską w Krakowie, znów zaczyna się to samo. I na tym polega prawdziwa nędza zachodniej emigracji, nie „elity emigracyjnej”, bo ta sypia spokojnie, ale tysiące ludzi, którym ziemia uciekła spod nóg w dniu przekroczenia granic polskich i którzy nigdy tej ziemi pod nogami nie odzyskali. Historia naprawdę ponura.

„WYSOKO NIEŚĆ BĘDZIEMY SZTANDAR!”

W jednej tylko dziedzinie, obok marnowania materiału ludzkiego po wszystkich frontach, wykazała „elita emigracyjna” maksimum wydajności. W wygłaszaniu łzawych, patriotycznych przemówień i oświadczeń, w których co drugie słowo pisane jest wielkimi literami. Nasłuchaliśmy się ich dość w dniach, kiedy pod walącymi się domami Warszawy ginęli nasi najbliżsi, przy dźwiękach nadawanych z Londynu melodii „Z dymen pożarów”! Trwają one i sądząc z odgłosów „londyńskiej” wiosny 1946 trwać będą dalej.

Pan Władysław Raczkiewicz i Tomasz Arciszewski ogłosili w dniu noworocznym postanie do Polonii emigracyjnej. To nic, że psa z kulawą nogą nie obchodzą w kraju postania noworoczne obu bankrutów! Ale czytane one były i są przez setki tysięcy emigrantów wojennych i przez miliony dawnych emigrantów w obu Amerykach. Dowiadujemy się z tego postania między innymi, że — „narzuca się Polakom siłą formy organizacyjne i społeczne, które winny być wyrazem ideałów, wynikających z ducha, bytu i przeszłości narodowej; że szerzy się wśród Polaków pod okupacją w kraju idee rasizmu, antysemityzmu, szowinizmu, a zarazem wzbudza niewiarę we własne siły; że propaguje się hasła nietolerancji religijnej i prześladowa duchowieństwo wszelkich wyznań i wreszcie, że Polska, pozostająca pod nową okupacją jest wyniszczana biologicznie, materialnie i duchowo”. Jedno zdanie jest w tym oświadczeniu prawdziwe. Prawdą jest, że szerzy się rasizm i antysemityzm, szkoda jednak, że nie dodano kto ten antysemityzm szerzy. Zwolennicy i

emisariusze Andersa i entuzjaści Raczkiewicza mogli coś o tym powiedzieć. I najbardziej ponure jest to, że w prywatnych rozmowach, skoro przyciśnie się do muru „londyńskich” Goebbelsów, przyznają się do tego, że kłamią całkiem świadomie. „To jest potrzebne, musimy zachować bojowe nastawienie u naszych ludzi. Cel uświęca środki”.

Z szukam tych celów. Po rocznikach czasopism emigracyjnych, po zbiorach przemówień programowych, po broszurach politycznych, po wydawnictwach oświatowo-wychowawczych. Wszędzie to samo. „Bóg i Historia, Wielkie Tradycje Historyczne, Naród Polski, Wolność i Niepodległość, Święte Ciało Rzeczypospolitej, Wysoko Nieść Będziemy Sztandar”. Patriotyczne parawany, takie same jak owe wielkie nazwiska, którymi zasłaniano emigracyjną nędzę moralną. Słowa, jeśli deklamowane z patosem, to zdolne wycisnąć łzy, także i pieniądze na Światowy Związek Polaków Zagranicą, czy jakiś nowy Fundusz Obrony Narodowej, spożyty potem przez kwestorów, słowa, którymi można zarobkować przez długi nawet okres czasu. Słowa bez pokrycia.

Z tej platformy rozpoczyna „elita emigracyjna” swą nową ofensywę. Świadczy o niej wznowienie kilku dawnych pism emigracyjnych w Londynie („Wiadomości Polskich” przez Nowakowskiego, Zahorską i Strońskiego, „Myśli Polskiej” przez Bieleckiego, Doboszyńskiego i towarzyszy). Świadczy o niej także wygłoszony przed niewielu dniami odczyt filaru „emigracji” — Adama Pragiera w londyńskim Livingstone Hall pt. „Dziś i jutro emigracji”.

„Mamy wystarczające rezerwy ludzkie na przetrzymanie — powiedział szanowny mówca — i nie wolno nam tych rezerw marnować. Każdy człowiek, decydujący się na wyprawę turystyczną (mowa o powrocie do kraju) jest dla nas stracony. Musimy ich wszystkich zatrzymać. W ciągu ostatnich miesięcy wyłaniały się w łonie naszej emigracji projekty pozostawienia na obczyźnie tylko niewielkiego ośrodka myśli politycznej i dopuszczenia do odejścia mas do kraju. Była to najszkodliwsza koncepcja, jaka się kiedykolwiek pojawiła na emigracji. Na szczęście zwyciężyliśmy ją ostatecznie. Nie ma żadnych powodów do defetyzmu, nie ma żadnych powodów, abyśmy mieli rezygnować z walki i abyśmy mieli porzucić wysoko niesiony sztandar!”

Na co liczy „emigracja”? Na wojnę? Nie w spokojnym Londynie, w którym właśnie rozbiera się ostatnie schrony przeciwlotnicze i odsłania pomniki z cementowych skorup, w którym regaty wioślarskie Oxford-Cambridge wzbudzają znacznie większe zainteresowanie niż obrady UNO nad sprawą perską, nikt, mający odrobinę oleju w głowie, na wojnę liczyć nie może. Nie dyskutował i sprawy bliskiego konfliktu zbrojnego nawet pan Pragier, a pierwszy po wznowieniu numer „Wiadomości” odkłada go co najmniej na kilkanaście lat. Nie, po prostu „elita emigracyjna” chce żyć nie naruszając swych wojennych oszczędności. A żyć można nawet z biednych polskich wygnańców, a już tym bardziej z bogatych wychodźców amerykańskich, którzy dadzą zawsze dolara na biednych Rejtanów i Wernyhorów.

A żeby uspokoić swoje nieczyste sumienia i natarczywe pytania emigracyjnych mas, uклада się teorie „drugiego garnituru” czy gry na dwóch fortepianach, opowiadania w zaufaniu na ucho. Mnie opowiadano ją trzykrotnie, „w zaufaniu”. Otóż bankruci emigracyjni doszli do wniosku, że wszystko się tak tragicznie

skończyło, ponieważ „my Polacy nie potrafiliśmy grać na dwóch fortepianach”. Od dzisiaj będziemy to robić. Wy (to znaczy kraj) będziecie kolaborować z okupantem, a my tutaj będziemy robić wielką robotę patriotyczno-propagandową. Że niby mimo żelaznej kurtyny i mimo wszystko, „jeszcze Polska nie zginęła, póki my (emigracja londyńska) żyjemy”. A kiedy nadejdzie czynu godzina, przyjdziemy was wyzwalać. Nie, wszystkich was nie powywieszamy, wyście przecież musieli, ale trochę powiesić będzie trzeba”. Niestety list proskrypcyjnych pokazać nie chcieli.

A co jest we wnętrzu tych londyńskich sędziów narodu, to wyczytać można w wyznaniu, które się wyrwało właśnie spod pióra emigracyjnego Sawonaroli, Wernyhory i Rejtana w jednej osobie, Zygmunta Nowakowskiego: „...będąc poza Polską nie jesteśmy nigdzie. Zawiśliśmy w próżni, z której wypompowano powietrze. Jesteśmy w kłamstwie w zaprzeczeniu życia. Dzień każdy poza Polską nie jest dniem prawdziwym, jest tylko czymś zastępczym. Mamy uczucie niczym nie zaspokojonej czczości” („Wiadomości” — 7. IV. 1946).

* * *

Lasek drewnianych krzyży na wapiennych stokach Monte Cassino i polskie prostytutki na ulicach niemieckich miast; zgiełk emigracyjnej prasy, zalanej lawinami kłamstw i młodzi polscy inżynierowie, pakujący walizy w drodze do Rodezji. I wypalony na żużel „emigracyjny sklep” z wielkim napisem o narodowych barwach „wysoko nieść będziemy sztandar”. Kóncowe cyfry bilansu londyńskiej emigracji. Deficyt, obciążający ostatecznie nie ich, ale kraj. „Poor Poles!” — powiedział mi wczoraj jakiś cudzoziemiec. Nie miałem mu co odpowiedzieć. Miał rację.

IRENA KRZYWICKA

CUD WARSZAWSKI

Kiedy w lutym 1945 r. przyczłapałam do Warszawy pieszo, w podartych butach — ze wsi odległej o 20 km. gdzie znalazłam się po wygnaniu z miasta całej ludności przez Niemców — ujrzałam pustynię. Gruzy rozwalonych kamienic utworzyły na jezdniach pagórki nierzadko do wysokości jednego piętra. Ostre kanty pokruszonych cegieł rwały i tak już zniszczone buty, między pagórami gruzu sterczały tu i ówdzie szkielety wypalonych kamienic, druty przewodów elektrycznych zwiślały żałośnie z pokruszonych słupów i plątały się między nogami, gdzieś gdzie widniał trup tramwaju, leżąc na boku jak zabite zwierzę, służący za barykadę podczas powstania. Miasto było martwe i głuche, żywej duszy, prócz przebiegających szczurów, czasem tylko zablakana sylwetka zziębniętego, zbiedzonego człowieka, szukającego wśród gruzów śladu dawnego szczęścia. Głuche? Nie. Zerwał się wiatr i począł walić i łopotać zerwanymi dachami domów, zwisającymi sztyldami, niedopalonymi skrzydłami okien i drzwi na pustych piętrach. Począł odrywać cegły od martwych domów i walić nimi, niby pociskami, począł przewalać ściany bez oparcia i sterczące bezradnie kominy. W owym czasie

było nie mniej niebezpieczne chodzić ulicami Warszawy, niż w czasie powstania. Śmierć groziła na każdym kroku. Wlokłam się zgięta pod wielkim tobołem, bo oto w piwnicy mego spalonego na pół domu udało mi się uratować skarb bezcenny: poduszkę i kołdrę dla dziecka, parę łachów. Tobół wielki i na pozór nie tak bardzo ciężki, ale kiedy trzeba z nim w mróz i zawieję przeskakiwać wały gruzu, kiedy nogi się gną z osłabienia i zimna, kiedy rozpacz nad zniszczonym, ukochanym miastem rozdziera serce, kiedy czeka jeszcze 20 km. wędrowki pod jego ciężarem — wtedy waży on tyle jakby się na barkach dźwigało trupa, trupa dawnego życia.

Szłam zgięta prawie do ziemi i myślałam: „To koniec. Za rok na tych gruzach zazieleni się trawka. Za dziesięć lat zakwitną na tym cmentarzysku miasta kwiaty. Za sto lat wszyscy o nim zapomną. Za dwa tysiące lat uczeni spod grubej warstwy ziemi będą odkopywali pozostałe szczątki i sądzili o naszej dla nich zamierchłej cywilizacji. Tego nie tylko odbudować, ale nawet uprzętnąć się nie da. Kto by chciał i mógł rozkopywać te zwaly gruzów? Gdzie i jak to wywieźć? I po co? Przecież nie tylko na powierzchni ale i pod ziemią wszystko jest zniszczone. Niemcy w kanały którymi przechodzili powstańcy rzucali granaty. Przewody, rury, wszystko pozrywane. Domy nieżywe. Ludzie nie znajdują w sobie ani siły, ani środków, ani woli, żeby podjąć tego rodzaju syzyfową pracę. Warszawy nie będzie”.

Złym byłam prorokiem. Małodusznym. Bo oto jak Łazarz odrzucający gieźło śmiertelne Warszawa zaczęła wstawać z martwych.

Zaczęło się to od sznurów ludzi ciągnących nieprzerwanym pochodem przez wszystkie szosy podwarszawskie do miasta, do spalonych domów, do zasypanych piwnic. I przedtem nawet za niemieckich czasów widać było gromady i gromadki przemykające się ku miastu. Byli to przeważnie szabrownicy, grabiący wraz z Niemcami porzucone mienie i garsteczka śmiągów która nie tknęła cudzego, szła ratować własne, jeśli coś zostało. Za taką wyprawę uczciwym ludziom groziła od Niemców kara śmierci, szabrownikom nie, bo mieli rozgałęzione stosunki wśród bandytów okupacyjnych i umieli rabować z nimi do spółki.

Ale teraz, po wyzwoleniu, szosy prowadzące do Warszawy zalane wprost były mrowiem ludzkim, płynącym zewsząd, z zapadłych kątów miejskich, odległych często o dziesiątki a nawet setki kilometrów od miasta, z dziur zapomnianych przez Boga i ludzi, gdzie udało im się uciec z konwoju, który Niemcy wyprowadzali ze zrujnowanej stolicy, albo po okropnym obozie w Pruszkowie, dokąd ich cisnęła brutalna łapa okupanta.

Teraz wracali. Zbiedzeni, wychudli, obdarci, każdy z tłoczkiem na plecach, w którym było trochę jedzenia i jedna, dwie uratowane szmaty. Szły kobiety przeważnie, bo jakże niewielu mężczyzn ocalało z powstania i z późniejszej, po wypędzeniu z miasta wywoźki do obozów. Szły młode i stare i nawet zgrzybiałe staruszki, szły dzieci duże i małe. Szły eleganckie panie na powykrzywianych obcasach, w obłoconych i podartych futrach i nędzarze prawie nadzy. Kto miał trochę pieniędzy siadał na furmanki chłopskie, które też długim sznurem ciągnęły do miasta i tam w ścisku, ze ścierpiętymi nogami trząsł się na wszystkich wybojach, aż wyskakiwała niemal z niego dusza. Była zima, śnieżyca, zawieja, albo błoto, śnieg

topniejący i wicher złośliwy, jadowity, wnikający w każdą szczelinę ubrania, a szczelin tych było wiele.

Ale ludzie szli do miasta, szli do ruin, ryli po piwnicach w poszukiwaniu resztki swego dobra, ten i ów szczęśliwy znalazł w dawnym swoim mieszkaniu jakiś kął możliwy, kawałek ściany, strzęp dachu.

I na ulicach zaczęły wyrastać budki. Te budki były ratunkiem śmiertelnie znużonych, zziębniętych, zgłodniałych. Można w nich było dostać talerz gorącej zupy z kociołka, kipiącego na żelaznym piecyku, zagrzać ręce przy ogniu. Właściciele budek dzwigali na plecach kilometrami kartofle i kasze, z narażeniem życia zdobywali w zaminowanych przez Niemców gruzach Warszawy drzewo na opał, toteż należy im się uznanie za ich energię i żywotność (choć brali słońce za swoją zupę).

Te budki, te żywe grzybki na trupie miasta to był początek. Zwolna zaczęło ich przybywać. Tu i ówdzie ktoś reperował dach kawałkami blachy, lub papy, zabijał dyktą okno, kleił, przybijał lepił i tworzył norkę mieszkalną. Ludzie na wózkach ręcznych, na plecach poczeli ściągać jakieś graty; baby stanęły na ulicach z koszykami, pełnymi chleba i nawet ciastek; tu i tam pojawiły się stragany; na rogach niegdyś — ulic poczeli szabrownicy zachwalać jakieś używane szmaty. Tłumy ściągać zaczęły z Pragi, płynącej wszelką obfitością, tłumy idące na przełaj przez Wisłę, po mięknącym wiosennym lodzie pokrytym już wodą i zapychający jedyny, pontonowy most, przeznaczony dla wojska.

Tak się zaczęło. A potem Rząd i Prezydent Warszawy wzięli sprawę w swoje ręce. Powstały brygady robocze do oczyszczania miasta, robotnicy stanęli do pracy przy filtrach, w elektrowni, w gazowni. Przy czym stanęli — nie wiem, przy kupie gruzów. Ale faktem jest, że oto, jakby cudem zaczęły znikać gruzy z ulic Warszawy, że wyłoniły się spod nich czyste jezdnie i chodniki, że znikli ludzie wleczący się kilometrami z kubłem wody, zaczepniętym w jakiejs studni lub sadzawce, że pojawiły się karne ogonki przy punktach rozprowadzających wodę z filtrów że później i te ogonki znikły, bo woda weszła na piętra, jeżeli gdzie jeszcze piętra zostały. Ze pewnego cudownego wieczoru zabłysło światło elektryczne, że popłynął strumień gazu, że ludzie, błakający się bezradnie ruszyli do zorganizowanej pracy.

I coraz więcej było stukania, klejenia, malowania w popalonych domach. Ożyły wszystkie partery. Ukazały się w nich piękne świeżutkie sklepy, zapełnione towarem, jak gdyby nie wiedzące o tym, że nad nimi wznoszą się wielopiętrowe szkielety, grożące zawaleniem. Gdzie się coś dało zreperować — zreperowano. W oknach pojawiły się szyby. Oficyny domów, do których nie zdołali dotrzeć Niemcy, napełniły się ludźmi. Ocalałe na peryferiach domki przytuliły całe gromady wygnańców. Praga wrzała życiem. Tam i z powrotem przez Wisłę, po ulicach począł walić i wali do dziś dnia zwarty potok ludzki. Otwarto, nie wiadomo jakim cudem, kina, teatry. I wreszcie ukazał się pierwszy tramwaj.

Piszę to, co widziałam na własne oczy — i nie wierzę. Piszę — i nie rozumiem. Jak taki cud jest możliwy, jak to być może, żeby w parę miesięcy z otchłani kompletnego zniszczenia wytrysło nowe życie?

Na szczęście cuda zdarzają się na świecie. Cuda płynące z wielkiej woli życia, z olbrzymiego wysiłku i z bohaterskiej odwagi.

LITERATURA SZTUKA I NAUKA W ANGLII

II

KSIĄŻKA W ANGLII

Pisaliśmy już o tym że Anglicy czytają dziś dużo i że czytają zachłanniej niż kiedykolwiek („Książka w Anglii” w numerze Majowym, 1946, NOWEJ POLSKI), że wykupują książki natychmiast po ich ukazaniu się (bardzo uderzającym jest tu fakt, że spośród dziesiątków rozmaitych zbiorowych wydań dzieł Szekspira nie ma ani jednego które by nie było wyczerpane, — kompletu Szekspira nie można dostać dziś w londyńskiej księgarni, chyba że w antykwarni, okazynie). Jakiego rodzaju są to książki?

OBRAZ NORMALNEJ, POWSZEDNIEJ PRODUKCJI WYDAWNICZEJ

NIE będziemy tu wysuwać na plan pierwszy książek specjalnie wartych zanotowania czy recenzji, przeciwnie, postaramy się o naszkicowanie raczej możliwie szerokiego obrazu normalnej, codziennej produkcji wydawniczej. Za podstawę posłużą tu najlepiej rubryki „Książek Nadesłanych”, zamieszczone w londyńskim tygodniku The Times Literary Supplement. Notowane tam są wprawdzie nie wszystkie pozycje wydawnicze, ale na ogół wszystkie te, które teoretycznie znajdować się powinny na półkach dobrej księgarni. Cztery ostatnie numery The Times Literary Supplement, obejmujące okres 4 tygodni, od 11 maja do 28 czerwca 1946, notują 257 nowych książek. Największą pozycję w tej liczbie stanowi oczywiście Powieść i Nowela: 53 tytuły, czyli 20%.

POWIEŚĆ I NOWELA

JAKA JEST TEMATYKA tej właśnie normalnej, codziennej powieści angielskiej, która stanowi chleb powszedni przeciętnego czytelnika? *E c h a w o j n y*: mężczyzna, uważany za umarłego, powraca do domu i zastaje żonę która wyszła za mąż za jego najlepszego przyjaciela; ślepa kobieta, nie tylko godzi się ze swoim kalectwem ale zaczyna je cenić, ponieważ daje jej ono wolność od tych złudzeń którymi omamia nas wzrok, jej spokój podtrzymuje na duchu okaleczonego lotnika, za którego wychodzi ona za mąż; prywatne życie młodej dziewczyny na tle wydarzeń 1939 r.; przypadkowe spotkanie ludzi należących do dwóch różnych światów, on — bohater wojenny, ona — inteligentna Amerykanka, i wpływ jaki mimo swej przelotności miało ono na życie wewnętrzne obojga; wojna w okupowanej Europie i małe miasteczko angielskie, a łącznikiem pomiędzy tymi dwoma światami — bohater powieści, syn Angielki i Węgry; i inne małe miasteczko, po wojnie, a tematem przystosowywanie się do warunków pokojowych grupy zdemobilizowanych mężczyzn i

kobiet. Motywy społeczne: miasteczko angielskie, a w nim nauczyciel, świadomy swych zadań, ale niedoświadczony; i jeszcze jeden nauczyciel, tym razem w Londynie, młody i neurasteniczny, który nie potrafi dostosować się do warunków. Motywy społeczne łączą się z analizą psychologiczną; (życie rodzinne jest tematem stosunkowo wielu powieści): zawarte w czasie wojny małżeństwo z Amerykańskim żołnierzem i problem separacji; ognisko domowe w którym mężczyzna kocha bardziej swe dzieci niż swą żonę; drobiazgowo studium psychologiczne emocjonalnych oporów i przystosowań się w małżeństwie zawartym w czasie wojny; obraz rodziny amerykańskiej w czasie wojny, widziany oczyma młodej, siedemnastoletniej dziewczyny; małżeństwo i rywalizacja pomiędzy matką i synową; czy wreszcie problemy takie jak tyrania płci, protest przeciw romantycznemu idealizowaniu miłości i małżeństwa, itp. Przygody mają za teren: Pacyfik, gdzie bohater realizuje marzenia swej młodości i odkrywa wyspę nie oznaczoną na mapie; wieś polską w 1939 roku; albo po prostu Anglię, gdzie skromny profesor uniwersytetu staje się w ciągu jednej nocy sławny jako współautor nowego programu radiowego p.t. „Oto odpowiedź!” Powieści detektywne: morderstwo w Chartres w 1939 i rozwiązanie zagadki w New Forest w 1945; inne morderstwo w Connecticut; inne w pociągu biegnącym przez Tanganikę; jeszcze inne u ujścia Tamizy; albo w Devonie; zagadki związane z jednymi z nich rozwiązane są przez detektywów zawodowych, inne przez detektywów amatorów, którzy w prywatnym życiu są na przykład szefami wielkiej firmy krawieckiej; poza morderstwami mamy do czynienia z hazardem w Ameryce; z ukrytymi skarbami; albo z handlarzami narkotykami, uprawiającymi swój proceder w Klubie Nocnym Pod Niebieską Ostrygą. Nowele: wybór nowoczesnych amerykańskich „short stories”; trzynaście tłumaczonych z rosyjskiego nowel Puszkina, Lermontowa, Gogola, Turgeniewa, Dostojewskiego, Tołstoja, Garszina, Czechowa i Gorkiego; oraz antologia nowel pisarzy żydowskich, „Żydowski Omnibus”. Największą pozycję stanowi jednak powieść historyczna. Spośród 53 rozpatrywanych tu powieści 11 sięga po tematy czy motywy czy choćby tylko po scenerię — do przeszłości; mamy więc romans dziejący się w Nantucket sto lat temu; i dramat dwóch mężczyzn i kobiety, tuż po wojnie domowej w Ameryce; powieść opartą na życiu Mojżesza; i imaginacyjny obraz życia Marii Magdaleny i jej spotkania z Jezusem; przygody młodzieńca kochającego i walczącego w czasie rewolucji francuskiej; i fantazję historyczną której bohaterowie przeżywają po kolei rewolucję francuską i obie wojny światowe; historię rodzinną z lat 1882-1905; i życie zwykłych ludzi w czasie wojny Białych róż Yorku z Czerwonymi różami Lancasteru; i walki pańszczyźnianych „pionierów rewolucji” z baronami z XIV-go wieku; wreszcie powieść o Machiavellim („THEN AND NOW”, W. SOMERSET MAUGHAM); i powieść o księżniczce Ana de Mendoza, wdowie po Ruy Gomez de Silva, i o jej stosunkach z Filipem II, hiszpańskim, i Antonio Perez’em, w latach 1577-92 („THAT LADY”. KATE O'BRIEN). Przeciętna powieść angielska ma od 200 do 300 stron druku i kosztuje od 8 do 10 szylingów. (Poza tym istnieją oczywiście tanie wydania, przede wszystkim sławne „Pingwiny”, których egzemplarz kosztował przed wojną 6 pensów, potem 9 pensów, a teraz kosztuje szylinga).

Największą po powieści liczbę tytułów zawiera dział Sprawy Światowe. Znajdujemy tu 23 pozycje, co stanowi 9% całej rozpatrywanej tu produkcji wydawniczej za okres ostatnich 4 tygodni:

SPRAWY ŚWIATOWE

JAKIE TEMATY? Problem przyszłego Pokoju i sprawy bliskiego i dalekiego Wschodu powtarzają się najczęściej. **Pokój:** analiza obecnej sytuacji i niebezpieczeństw totalizmu, wołanie aby Brytania odmówiła swego udziału w przyszłych wojnach i w ten sposób zajęła moralne przewodnictwo w świecie; potrzeba przewodnictwa i czynu w pokoju tak samo jak i w wojnie, zasady na jakich czyn taki oprzeć się powinien i rola jaką w tym planie odegrać powinna Brytania; działalność organizacji międzynarodowych od Genewy do San Francisco, traktaty i umowy mające stanowić ramy przyszłego uporządkowanego społeczeństwa światowego; stosunek Brytanii do międzynarodowego porządku światowego i do poszczególnych państw, oraz analiza przeszłych i obecnych warunków, wynikająca z potrzeby ponownego zrewidowania głównych problemów bezpieczeństwa. **Niemcy:** katastrofalne następstwa, dla Europy i Niemiec, jakie pociągnie za sobą polityka likwidowania przemysłu niemieckiego; wrażenia tłumacza armii brytyjskiej z jego spotkań z Niemcami i z okupacyjnymi wojskami sowieckimi w Niemczech, w październiku-grudniu 1945. **Francja:** próba naszkicowania ogólnego obrazu życia politycznego, społecznego i ekonomicznego we Francji w latach 1940-45, i przewodnik po grupach politycznych Francji wolnej. **Europa Wschodnia:** analiza problemów które tamują drogę pokojowi w Europie Wschodniej; ścierające się z sobą ideologie i aspiracje narodowe, „kult państwa” jako coś co ustąpić musi przed „duchem wspólnoty związkowej”. **Kraje Arabskie:** kontakty, cele i polityka brytyjska na Środkowym Wschodzie od XIX wieku do dziś, interesy brytyjskie w tym rejonie i problemy jakie nadchodzą. **Palestyna:** analiza zagadnień Palestyny z punktu widzenia arabskiego i żydowskiego, oparta na obserwacjach i dokumentach. **Etiopia:** historyczne podłoże żądań Etiopii połączenia się z byłymi koloniami włoskimi, Erytreą i Somali, opis postępu w przemyśle, rolnictwie, szkolnictwie, i administracji jaki kraj ten poczynił po uzyskaniu wolności w r. 1942; pamiętniki z wieloletniego pobytu w Etiopii, opis wydarzeń i przemian w społecznym, politycznym i ekonomicznym życiu kraju po roku 1920. **Daleki Wschód:** studium krytyczne na temat stosunków pomiędzy Wschodem i Zachodem, potrzeba nowego sposobu wyszkolenia służby dyplomatycznej i konsularnej. **Indie:** studium pewnych aspektów historii Indii, istota i pochodzenie ich problemów społecznych; polityczne problemy Indii i ich miejsce we wspólnocie światowej; problem rozmieszczenia przemysłu w Indiach, i kontroli rządu; przemowy publiczne i korespondencje Lorda Linlithgow, pisane w czasie kiedy był vice-królem Indii; przegląd planu dla przyszłych Indii, z punktu widzenia społecznego i ekonomicznego, główne problemy planowania, zasady Gandhi'ego, rolnictwo, przemysł, komunikacja, szkoła, opieka społeczna, zdrowie i kultura. **Japonia:** o istnieniu w Japonii grup zdecydowanie anty-militarystycznych i pro-demokratycz-

nych, które powinny stanąć na czele szerokiego ruchu ludowego, dla przeprowadzenia re-edukacji i osiągnięcia społecznego i ekonomicznego bezpieczeństwa, i o tym że obowiązkiem Ameryki jest pomóc tym potencjalnym przewodcom nowej Japonii. *Energia Atomowa*: przegląd nowej sytuacji spowodowanej użyciem energii atomowej, jej źródła, sposoby zastosowania dla celów wojny i pokoju, potrzeba kontroli. Poszczególne tytuły w tym dziale mają od 16 do 500 stron druku i kosztują od 6 pensów do 12 szylingów. Następną pozycję po *Sprawach Światowych* zajmują prace z dziedziny *Historii* (prawie 9%).

HISTORIA

TEMATY mamy tu takie jak np.: przyczyny Rewolucji Francuskiej; Kongres Wiedeński; początki historii Rosji; historia dyplomacji od 1713 do 1933; historia stosunków europejsko-burmańskich do r. 1886; historia Indii; i wiersze miłosne przypisywane Marii Stuart; historia okrętów wiozących drzewo sekwojowe od brzegów Kalifornii i Oregonu na rynki całego świata; i studia nad pewnymi cywilizacjami pierwotnymi, napisane dlatego „ponieważ trzeba zrozumieć przeszłość aby uciec od niej”; historia Alexandra Baranowa i kolonizowania Alaski w końcu XVIII w.; i wybór z pamiętników dwóch emigrantów z okresu kalifornijskiej gorączki złota, 1849; przemiany w Anglii w ciągu połowy stulecia, 1895-1945; i historia pewnego domu w Leicestershire i rodziny Herrick, która posiadała ten dom od końca XVI wieku do r. 1915; i opis wizyty Lady Luxborough w miejscowości kuracyjnej w roku 1752, będący rekonstrukcją życia arystokracji w XVIII wieku; poza tym mamy tu wydawnictwa towarzystw archeologicznych, publikacje dokumentów historycznych i t.p. Książki w tym dziale mają od kilkunastu do 1100 stron druku i kosztują od 6 pensów do 2 funtów sterlingów.

W dziale *Religia i Teologia* znajdujemy tyle samo, mniej więcej, pozycji co w dziale *Historii*.

RELIGIA I TEOLOGIA

STOSUNKOWO nieliczne są w tym dziale pisma dewocyjne, kontemplacyjne, czy mistyczne, więcej natomiast widzimy prac historycznych, socjologicznych, politycznych, poświęconych takim tematom jak na przykład — *Misjonarstwo*: rocznik (1945-46) pracy misjonarza w Afryce, na Bliskim i Środkowym Wschodzie, w Indiach, Chinach i Australii; przegląd ekspansji Chrześcijaństwa od r. 1914; rozwój Kościoła Anglikańskiego w Indiach, jego konstytucja i autonomia. *Protestantyzm*: Kalwin i wpływ Protestantyzmu na życie i charakter narodu; studium na temat zależności pomiędzy Lutrem i Melanchtonem, tym „jedynym humanistą z którym Luter mógł się porozumieć”, o wpływie Melanchtona na luteranizm i o miejscu jakie zajmuje on w historii Reformacji. *Kościół Anglikański i inne*: doktryna kościoła, tak jak ją naucza kościół Anglikański; podręcznik „Towarzystwa Przyjaciół” (Kwakrów), dający przegląd działalności kwaków w Europie, Ameryce i innych częściach świata; historia kościoła w Szwecji. *Polityka*: dyskusja na temat roli Kościoła i roli Chrześcijanina w sprawach publicznych i na temat specjalnych problemów, istniejących w sferach religii

i polityki; studium na temat wolności religijnej w wielu krajach w przeszłości i dzisiaj. R a c j o n a l i z m: myśl wolna powinna zapoznać się dokładniej z zagadnieniami związanymi z wierzeniami i praktykami religijnymi, wszechobecność wpływu, jaki zorganizowane religie wywierają na nasze życie codzienne, wymaga od inteligentnego obywatela aby zajął aktywne stanowisko i wypowiedział się za albo przeciw. Książki w tym dziale mają od kilkunastu do 600 stron druku i kosztują od 6 pensów do 25 szylingów.

Następną po Religii i Teologii pozycję, pod względem ilości tytułów, zajmują Biografie i Pamiętniki (7%).

BIOGRAFIE I PAMIĘTNIKI

LUZDZIE Wojny: listy pisane w latach wojny do starego przyjaciela, marynarza, w których autor Commander-in-Chief Portsmouth, i później Chief of Naval Information, komentuje sprawy morskie i wydarzenia bieżące; życie generała Eisenhamera, od czasów chłopięcych do dnia dzisiejszego. Ludzie Religij: studium na temat życia i prac F. W. Faber'a, który przeszedł na katolicyzm w tym samym roku 1845 co przyjaciel jego kardynał Newman; opowiadanie o życiu i naukach Swami Dayanand'a Saraswati, urodzonego w r. 1824 z rodziców brahmińskich, który poświęcił się studiom i nauczaniu religii wedyckiej; studium o życiu, pracach i wpływie biskupa Ryszarda Challoner, 1691-1781. Ludzie Dalekich Krajów: życie codzienne od dzieciństwa do starości, opowiedziane przez Chinę, robotnicę, urodzoną w prowincji Shantung, w r. 1867; przeżycia kierownika plantacji herbacianych w Assam; przygody Lawrence'a na tle kampanii na Środkowym Wschodzie, z czasów Pierwszej Wojny Światowej. Ludzie Medycyny: bezstronne badanie faktów i dostępných dziś dowodów dotyczących działalności zawodowej Sir'a Morell Mackenzie, specjalisty od chorób gardła, w związku z chorobą Fryderyka III, cesarza Niemiec; „MĘŻCZYŻNA AKUSZER”, przygody John'a Knyveton, M.D., byłego chirurga Floty Brytyjskiej w latach 1763-1809, który po ukończeniu Wojny Siedmioletniej zaczął studiować anatomię i położnictwo i został wziętym lekarzem londyńskim. Ludzie Administracji: autobiografia policjanta, opisująca trening i życie codzienne konstabla wiejskiego, z którego to opisu wynika że mimo wszystko los policjanta, zwłaszcza na wsi, może być bardzo szczęśliwy. Książki w tym dziale mają od kilkudziesięciu do 700 stron i kosztują od 3 do 21 szylingów. Następną, ilościowo, pozycję zajmują Essaye i „Belles Lettres” (6%).

ESSAYE I „BELLES LETTRES”

TYTUŁY poszczególnych prac same już dają pojęcie o tematach będących przedmiotem studiów w tym dziale: „ROZWÓJ STYLU U KEATS'A”; „ŹRÓDŁA DO BIOGRAFII SZEKSPIRA”; PRZEDMOWY DO SZEKSPIRA”; POEZJA MORALNA POPE'A”; „ANTHONY TROLLOPE”; „LITERATURA ŚREDNIOWIECZA I CZYTELNIK DZISIEJSZY”; „KUPIEC WENECYKI I PROBLEM LICHWY”; „ANTONIUSZ I KLEOPATRA”; „COMUS I SZEKSPIR”; „JAMES JOYCE I MUZYKA WOKALNA”; „LITERATURA ANGIELSKA XX WIEKU”; „SŁOWNICTWO POETYCKIE” — trzy studia: „Worworth i słownictwo

emocyj”, „Antropomorfizacje XIX wieku — studium Zmiennej Zależności pomiędzy Przedmiotem i Uczuciem”, i „Główne Przymiotniki w Poezji Angielskiej od Wyatt’a do Auden’a”; „**PODSTAWY KRYTYK W SZTUCE**”; „**KLASYCY**” (dane dotyczące głównych klasyków wszystkich dziedzin Literatury Chińskiej, na przestrzeni 4000 lat) „**B. C. LAW**” (zbiór prac z zakresu indologii poświęcony Drowi Bimala Churn Law, studiującemu historię i kulturę Indii, a zwłaszcza Buddyzm i Jainizm); „**PROWENSALSKA CHANSON DE GESTE**” (wywód, że dla wyjaśnienia rozwoju literatury prowensalskiej nie potrzebna jest hipoteza zakładająca iż istniała kiedyś tubylcza poezja epicka w południowej Francji). Poszczególne pozycje w tym dziale mają od 20 do 700 stron druku i kosztują od 1 do 22 szylingów.

POEZJA

POEZJA stanowi stosunkowo bardzo dużą pozycję, jeśli chodzi o ilość tytułów. Częściej niż co drugi dzień pojawia się nowy tom wierszy (por.: „Sytuacja Materialna Poety w Anglii” w numerze Majowym, 1946, Nowej Polski). Ten dział jednak wymaga specjalnego omówienia na innym miejscu. Tom wierszy ma od kilkunastu do stukilkudziesięciu stron druku i kosztuje od 4 do 10 szylingów. Sprawom Wojny i Prowadzenia Wojny mniej tomów jest poświęconych (4%) niż Poezji (5½%).

WOJNA I PROWADZENIE WOJNY

Pierwsze miejsce zajmują tu oczywiście Niemcy: sprawozdanie z ośmiu prób ucieczki z obozu jeńców wojennych; doświadczenia w obozach jeńców w Niemczech i Włoszech; Oflag IV c; kronika wydarzeń z okresu porażki Niemiec. Włochy: pamiętnik autorki która mieszkała w Rzymie od kwietnia 1943 do czerwca 1944 i miała aż do ostatnich chwil stały „dostęp do wiarygodnych źródeł najniezwyklejszych informacji”. Grecja: sprawozdanie z wydarzeń od września 1944 do marca 1945, wrażenia korespondenta wojennego; opis doświadczeń autora, który walczył w Armii Greckiej w Albanii, był w okupowanych Atenach i uciekł na Środkowy Wschód. Norwegia: oficjalne sprawozdanie z ucieczki rządu norweskiego do Anglii. Po za tym: raport „Imperial War Graves Commission”, będący sprawozdaniem z prac Komisji w ciągu ostatniego roku wojny; historia, rozwój i używanie karabinu. Na ogół od 200 do 400 stron druku i od 8 do 21 szylingów.

FILOZOFIA

DWIE mniej więcej książki na tydzień: szkic filozofii średniowiecznej; rozum jako ostateczny zwycięzca w walce z irracjonalnym mitem; szkice na temat reinkarnacji oraz fizjologii, nauki i psychologii; wspólne cechy filozofii Heraklita i Lao Tse, ich wpływ na podstawowe idee Chrześcijaństwa, i ich zastosowanie do problemów dnia dzisiejszego („**INTERPRETERS OF REALITY**”, GRIFFITH, G. O.); „**PRZYSZŁOŚĆ MORALNOŚCI**”; „**ARTHUR SCHOPENHAUER**”; i wreszcie Wstęp do Studiów nad Doktrynami Hinduskimi, mający wskazać zachodniemu czytelnikowi zasadnicze różnice pomiędzy wschodnim i zachodnim sposobem myślenia. Książki w tym dziale mają od 100 do 400 stron druku i kosztują od 5 do 12 szylingów.

SZTUKA

ARMFIELD, MAXWELL. „MALARSTWO TEMPEROWE DZISIAJ”. 86 str., Ilustr., Pentagon Press. 12s. 6d. — tempera jako materiał malarski wprowadzona została do Anglii przeszło sto lat temu; książka oparta jest na wykładach jakie autor w ciągu ostatnich 20 lat miał na ten temat. BENESCH, OTTO. „SZTUKA RENESANSU W PÓŁNOCNEJ EUROPIE”. 174 str., Ilustr., Harvard University Press, London; Cumberlege. 45s. 6d. — zależności pomiędzy sztuką renesansu w północnej Europie i dzisiejszymi prądami duchowymi i intelektualnymi. BILBO, JACK. „TOULOUSE-LAUTREC I STEINLEN”. 44 str., Ilustr., Modern Art Gallery. 21s. — książka zawiera 52 reprodukcje (w tym 11 kolorowych) prac tych dwóch artystów. GAUDIER-BRZESKA. „RYSUNKI”. Wstęp napisał HORACE BRODZKY. 92 plansze. Faber & Faber. 30s. — wybór rysunków piórem, ołówkiem, węglem i pastelą. TOPOLSKI, FELIKS. „TRZY KONTYNENTY, 1944-45”. Przedmowę napisał MAURICE COLLIS. 224 str., Methuen. 50s. — tematem ostatnich rysunków Topolskiego jest wojna i życie w czasie wojny w Anglii, Afryce i Europie. Ostatni cykl nosi tytuł „Niemcy Pokonane”. UHLMAN, FRED. „NIEWOLA”. 24 rysunki. Przedmowę napisał RAYMOND MORTIMER. Cape. 8s. 6d. — prace artysty niemieckiego, internowanego w czasie wojny w obozach w Ascot i Douglas. Wszystkie wymienione tu publikacje ukazały się w omawianym tu okresie 4 tygodni i nie mogą, oczywiście, dać pełnego obrazu całej produkcji wydawniczej w dziale Sztuki. W oddzielnym artykule poświęcamy „wydawnictwom artystycznym” więcej miejsca (patrz str. 62).

PRZYRODA

MNIEJ WIĘCEJ dwie książki z tego zakresu ukazują się co tydzień: drzewa w Brytanii; brytyjskie kwiaty ogrodowe; ptaki ogrodowe; pszczoły; kroniki przyrodnicze opisujące miesiąc po miesiącu zmiany scenarii jakie zachodzą w lesie, na polu i w ogrodzie; i wreszcie SALIM ALI. „PTAKI W KUTCH”. XVIII i 175 str., ilustr., Oxford University Press. 35s. — książka ta jest rezultatem badań ornitologicznych, jakie w latach 1943-44 autor przeprowadził, przy pomocy obecnego władcy prowincji Kutch, maharadży Shri Vijayarajii; plansze kolorowe i fotografie około stu okazów. Książki w tym dziale mają od 50 do 200 stron druku i kosztują od 4 do 35 szylingów.

SOCJOLOGIA

„CITIZENS IN READINESS” („Obywatele w Pogotowiu”), 64 str., ilustr., 2s. — w czasie pogotowia wojennego wykwalifikowani i niewykwalifikowani pracownicy bardzo rozszerzyli zakres swej wiedzy w wielu dziedzinach nauk społecznych, doświadczenia ich powinny być zanotowane i ogłoszone, aby korzystać z nich można było w przyszłych eksperymentach społecznych; książka jest sprawozdaniem z powstania, organizacji, powodzeń i niepowodzeń walijskich szkół wiejskich, przeznaczonych dla dzieci ewakuowanych w czasie wojny. SIMMONS, LEO W. „THE ROLE OF THE AGED IN PRIMITIVE SOCIETY” („Rola Ludzi Starych w Społeczeństwach Prymitywnych”). 317 str., Yale University Press, London:

Cumberlege. 26s. 6d. — o pozycji społecznej przyznanej ludziom starym, czy też zdobytej przez nich, w społeczeństwach prymitywnych całego świata. COLE, MARGARET. „THE RATE FOR THE JOB” („Płaca za Pracę”). 25 str., Fabian Society i Gollancz. 1s. — zasada płacy za pracę, niezależnie od tego kto tę płacę wykonywuje, przegląd stawek płac przyznawanych mężczyznom i kobietom w przemyśle i zawodach. SILVERMAN, H. A. „STUDIES IN INDUSTRIAL ORGANISATION. 362 str. (Nuffield College Reconstruction Survey), Methuen. 20s. — trzy studia na temat niektórych drobniejszych przemysłów tekstylnych i ubraniowych, mające za cel zebranie danych, na podstawie których przyszłe plany rozmieszczenia przemysłu mogłyby być opracowane.

FILOLOGIA

FILOLOGIA obejmuje mniej więcej tyle samo tytułów co Socjologia (2% ogólnej liczby). Mamy tu gramatykę języka Urdu, przeznaczoną dla kandydatów do Armii Indyjskiej; i gramatykę papyrusów poptolomeuszowych; analizę europejskich problemów językowych, z przeglądem statystycznym dzisiejszej sytuacji pod wzgl. językowym (RUNDLE, STANLEY. „LANGUAGE AS A SOCIAL AND POLITICAL FACTOR IN EUROPE”. 207 str., Faber & Faber. 12s. 6d.); broszurę o potrzebie języka międzynarodowego jako podstawy pokoju światowego, przy czym językiem tym miałyby być angielski o zreformowanej ortografii; i podręcznik rosyjskiego.

SPORT

SPORT, jak widzimy, zajmuje miejsce dalsze niż Filologia czy Socjologia: cricket; przewodnik żeglarza; wspomnienia i refleksie myśliwego; wakacje w górach; połów pstrągów i łososi na wędkę.

EKONOMIA

MANTOUX, ETIENNE. „THE CARTHAGINIAN PEACE — OR THE ECONOMIC CONSEQUENCES OF MR. KEYNES”, 210 str., Oxford University Press, London: Cumberlege. 12s. 6d. — w krytycznej rewizji książki Lorda Keynes „The Economic Consequences of the Peace”, wydanej przed 26 laty, autor stara się pokazać, że następstwa Traktatu Wersalskiego zostały w niej fałszywie zinterpretowane i że powstałe w ten sposób fałszywe pojęcia nie powinny zakłócić prowadzonych obecnie prac nad zorganizowaniem pokoju. BOULDING, KENNETH. „THE ECONOMICS OF PEACE”. 260 str., Michael Joseph. 15s. — angielskie wydanie pracy opublikowanej już w Ameryce, autor — uznając zasługi Lorda Keynes — nakreśla ogólne zasady odbudowy ekonomicznej i sposób w jaki powinny być one zastosowane dla przewyciężenia skutków wojny. PIGOU, A. C. „INCOME: AN INTRODUCTION to ECONOMICS”. 117 str., Macmillan. 5s. — autor, były profesor Ekonomii Politycznej na uniwersytecie w Cambridge, nakreśla tu ogólny zarzys jednego działu ekonomii, dla nie-ekonomistów. WILSON, THOMAS. „FLUCTUATIONS IN INCOME AND EMPLOYMENT”. 213 str. Pitman. 18s. — jest to ósma książka z serii studiów ekonomiczno-handlowych, wydawanych przez London School of Economics and Political Science.

PSYCHOLOGIA

BROWN, WILLIAM. „PERSONALITY AND RELIGION”. 195 str. University of London Press. 9s. 6d. — próba rozpatrzenia ogólnych problemów religii w świetle psychologii nowoczesnej. DE HAŪAS, DR. F. „THE EQUILIBRIUM THEORY OF HUMAN CONSCIOUSNESS”. M. Douglass Macrae. 2s. 8d. — próba ustanowienia syntezy dwóch teorii psychologicznych — psychologii świadomości i psychologii zachowania — i zbadania nowych możliwości jakie ta synteza otworzy. JOAD, C. E. M. „HOW OUR MINDS WORK”. 100 str. Westhouse. 6s. — popularny wykład psychologii i teorii psychologicznych. MONRAD-KROHN, G. H. „HOMO SAPIENS AND THE PEACE PROBLEM”. 16 str. H. K. Lewis. 2s. 6d. — autor, profesor medycyny na Uniwersytecie w Oslo, wzywa do studiów i nauczania psychologii społecznej, psychologii mas, co jest niezbędnym krokiem zmierzającym do odbudowania pokojowego świata, ponieważ masy muszą zrozumieć ich własne „tendencje do zachowania się masowego” i przeciwstawiać się im.

MEDYCYNĄ

DUNBAR, FLANDERS. „EMOTIONS AND BODILY CHANGES”. 604 str. Columbia University Press, London: Cumberlege. 50s. — monografia, zawierająca wyniki badań nad zmianami cielesnymi towarzyszącymi przeżyciom emocjonalnym. ELLIS, E. S. „ANCIENT ANODYNES”. 187 str. Heinemann. 21s. — pochodzenie i rozwój historyczny wszystkich form znieczulania od najdawniejszych czasów, praca ta ma zainteresować przede wszystkim antropologa.

NAUKI ŚCISŁE

SPENCER-BRAGG, ARTHUR W. „999 — EMERGENCY!”. 64 str. Social Science Association. 2s. 6d. — rozprawka o roli nauki i naukowca w świecie nowoczesnym. TURNER, N. C. „ATOMIC ENERGY FOR PEACE AND WAR”. 35 str. Oliver and Boyd. 1s. — popularny wykład podstawowych zasad fizyki energii atomowej oraz o konstrukcji i działaniu bomby atomowej. WEST, T. F. i CAMPBELL, G. A. „D.D.T.” 301 str., ilustr. Chapman and Hall. 21s. — dramatyczne opowiadanie o odkryciu, produkcji i zastosowaniu preparatu owadobójczego, który w czasie wojny był, narówni z peniciliną i radarem, potrzebą najwyższego rzędu.

ARCHITEKTURA I BUDOWNICTWO

ASHBURNER, E. H. „MODERN PUBLIC LIBRARIES”. 168 str. Ilustr. Grafton. 25s — przegląd tendencji dotyczących planowania czytelnicy miejskich do r. 1939, mający na celu skontrolowanie doświadczeń przeszłości dla lepszego ich wykorzystania przy przyszej reorganizacji czytelnicy publicznych. SHEPPARD, RICHARD. „PREFABRICATION IN BUILDING”. 148 str. Ilustr. Architectural Press. 18s. 6d. — przegląd i analiza systemu budowy domów „składanych”, których części sporządzane są uprzednio systemem fabrycznym, zależność tego rodzaju budownictwa od ekonomicznego i przemysłowego tła kraju, jego wpływ na metody budowlane przeszłości.

Stosunkowo najmniej tytułów (1% do $\frac{1}{2}\%$) zawierają pozycje takie jak: BIBLIOGRAFIA, DRAMAT, GASTRONOMIA, GEOLOGIA, HOTELARSTWO, HUMOR, KINO, MUZYKA, OŚWIATA, PRAWO, PRZEMYSŁ, ROLNICTWO, TEATR, TRANSPORT.

CO CZYTAJĄ W ANGLII czyli OBRAZ PRODUKCJI WYDAWNICZEJ W CYFRACH

BARDZIEJ przejrzyście ujrzymy obraz tej normalnej, codziennej produkcji wydawniczej w Anglii, jeśli weźmiemy za podstawę okres czasu 3 miesiące (porównaj „Książka w Anglii” w nr. Majowym, 1946, Nowej Polski) i otrzymane cyfry posegregujemy na mniej działów, lecz za to bardziej ogólnych.

Dział	Ilość tytułów w okresie 3 miesięcy	% ogólnej liczby tytułów w tym czasie	Przeciętna liczba stron książki w tym dziale	Przeciętna cena książki w tym dziale
1. Powieść i Nowela	251	19%	194	7 szyl.
2. Socjologia i Polityka (wraz z Ekonomią, Prawem, Wojną itd.)	201	15%	188	9s.
3. Literatura i Języki (wraz z Essayami, Dramatem, Poezją itd.)	176	13%	108	6s.
4. Nauki Przyrodnicze (wraz z Medycyną, Matematyką, Fizyką itd.)	132	10%	332	18s.
5. Książki dla Dzieci	124	9%	84	4s. 3d.
6. Technika i Rzemiosła (wraz z Budownictwem, Rolnictwem itd.)	98	7%	222	13s.
7. Religia	78	6%	130	5s.
8. Oświata (wraz z Podręcznikami, Teorią Wychowania itd.)	61	5%	134	4s. 3d.
9. Biografie i Pamiętniki	56	4%	200	10s.
10. Sztuka (Malarstwo, Muzyka, Architektura, Scena, Ceramika itd.)	47	3 $\frac{1}{2}$ %	127	12s.
11. Geografia, Topografia, Podróże i Przygody	40	3%	165	9s.
12. Historia i Biografia Historyczna	23	1 $\frac{3}{4}$ %	280	15s.
13. Sport	23	1 $\frac{3}{4}$ %	142	8s. 6d.
14. Słowniki itp.	18	1 $\frac{1}{3}$ %	410	22s.
15. Filozofia	12	1%	255	11s.

KSIĄŻKA JAKO SPOSÓB PRZEKAZYWANIA MYŚLI

DRUKARSTWO I WOJNA

Wojna zmusiła drukarstwo angielskie do oszczędzania; do oszczędzania papieru, do oszczędzania siły roboczej, a także do oszczędzania wszędzie tam gdzie chodziło o eksperyment drukarski.

To oszczędzanie i racjonowanie doprowadziło do pewnego rodzaju skonsolidowania się nie tylko starych firm wydawniczych, ale i starych form wydawniczych, nowe idee nie mogły bowiem przewyciężyć tych wszystkich nowych trudności jakie przyniosła wojna. Nowym ideom zwykle brak pieniędzy, tak jak starym ideom zwykle brak treści; na dodatek jednak, w czasie wojny, nowym ideom brak było także nowych warsztatów pracy, ponieważ przydział papieru (choć nie przydział rąk roboczych) otrzymywali tylko ci drukarze, wydawcy i właściciele pism, którzy zarejestrowani byli nie później niż w maju 1940. Nowi wydawcy nie otrzymywali papieru i nie wolno było też zakładać nowych pism. Tak więc, mimo tych i owych wyjątków, nowym ideom nie było łatwo uzyskać poparcie finansowe czy intelektualne: zasada „wydawnictw murowanych”, nie idących na ryzyko finansowe, dominowała w społeczeństwie zachowawczym.

TRADYCJONALIZM

Tak więc jednym z następstw, jakie pociągnęło za sobą owo racjonowanie papieru, było wzmocnienie się tradycjonalizmu wydawniczego. Aby oszczędzić papier i pracę zecera Stowarzyszenie Wydawców ustaliło pewne techniczne zasady wydawania książek: zmniejszone marginesy, drobniejsza czcionka, zaczynać nowego rozdziału tuż po skończeniu poprzedniego, ograniczona ilość kart tytułowych, krój czcionki tak prosty jak tylko możliwe. Papiernie produkowały papier lżejszy i książki stały się cieńsze. Oszczędności te, na ogół, nie wpłynęły na to by książki były gorzej drukowane. Wprawdzie ci wydawcy i drukarze, którzy znani byli z nieskazitelnych druków, pięknego papieru i oprawy, nie mogli utrzymać swej produkcji na tym dawnym poziomie, lecz za to średni wydawcy zaczęli produkować książki lepiej niż kiedykolwiek przedtem, bowiem owe „zasady oszczędnościowe” opracowane były przez drukarzy i typografów o lepszych kwalifikacjach. Wszyscy więc wydawcy zbliżyli się do pewnego powszechnego zadawalającego poziomu produkcji.

Te słowa: „powszechny zadawalający poziom produkcji” znaczą już same przez się że produkcja była tradycjonalistyczna. Zadawalający ogólny poziom tradycjonalizmu wymaga jednak czegoś więcej niż zadawalającej tradycji, uświęconej czy nie uświęconej przez zadawalająco dużą liczbę zadawalająco dobrych typografów, — poziom tradycjonalizmu wymaga również ustawicznego, dzisiaj dokonywanego eksperymentu. Taki eksperyment wydaje się często antytradycjonalny, bowiem zadawalająco duża i zadowolona z siebie większość zwykła uważać za tradycję to, co stanowi jedynie pewne formalne objawy tradycji: symetryczny układ, czcionka specjalnego kroju, ozdobne inicjały itp. Tradycja nie jest jednak zbiorem objawów: jest dobrym

czy złym zdrowiem, ale nie zbiorem objawów złego czy dobrego zdrowia. Eksperyment może przeciwstawiać się tym objawom. Ale eksperyment nie jest zaprzeczeniem tradycji. Eksperyment jest penetrowaniem tradycji i poszukiwaniem jej wymagań.

NOWA FORMA

Problemowi temu dlatego poświęcam tyle miejsca ponieważ sądzę, że w ciągu najbliższych dziesięcioleci rozwinie się nowa forma przekazywania idei, i że będzie ona tak rewolucyjna jak rewolucyjnym było wprowadzenie notacji muzycznej, czy filmu. Tej nowej formy nie dotyczyłyby sprawy takie jak formalne objawy stanowiska tradycyjnego. Może ona, i prawdopodobnie będzie ona zwalczać te objawy jako objawy, głównym jej zadaniem będzie jednak spróbować rozwiązać pewne zagadnienia które są tak proste, że często w ogóle nie są uznane za zagadnienia.

Na przykład: dlaczego słowo jest słowem a nie tylko arytmetyczną sumą kształtów i dźwięków należących do liter z których się ono składa?; i co to ma wspólnego z faktem, że od czasów Galileusza, i potem Descartesa (ale nie po Einsteinie), filozofia opierała się bardziej na sumowaniu niż na całościach?; i czy nie dlatego właśnie drukarstwo, ten pierwszy przykład standaryzacji paleotechnicznej, produkuje słowa za pomocą zsumowywania pojedynczych liter?; jaki jest wpływ słowa (pojętego jako całość) na każdą z liter z jakich się ono składa?; dlaczego niektóre litery wydają się znikać w słowie, i, jeśli tak, to dlaczego drukuje się je czcionką tej samej wagi co inne, mające większe znaczenie?; dlaczego słowom nadaje się w druku kształty mające mało wspólnego z wymawianym dźwiękiem?; i doprawdy — czemu litery alfabetu uszeregowane są w ich obecnym porządku a, b, c,...z? i czy nie dlatego właśnie z jest zawsze mniej „znane” od a i od b i od c?

Historia drukarstwa podobna jest do historii wszystkich pseudomorfów¹ kulturalnych. Oryginalne słowa autora rejestrowane były zgodnie z konwencją, która zakładała że za pomocą (około) 26 liter można wyprodukować izomorficzny² odpowiednik idei autora. Zapomniano jednak że za pomocą druku wyrazić można idee autora tylko o tyle, o ile mogą one być wyrażone za pomocą słów drukowanych — a nie słów samych. Słowa wymawiane mogą być modyfikowane przez autora za pomocą zmian głosowych; słowa drukowane modyfikowane są w ten sposób że czytelnik wyobraża sobie intonację autora, — truizmem zaś byłoby przypominać, że nie znamy się wszyscy nawzajem tak dobrze, byśmy mogli być pewni jaka intonacja towarzyszy czytany przez nas tekstom.

Jak dotąd, jedynie w niewielu wypadkach autorzy kusili się na to by uczynić coś więcej niż tylko nadawać swym ideom formę

¹„Pseudomorf” (dosłownie): minerał, który zajął miejsce innego minerału, zachowując dokładnie jego kształt zewnętrzny. W wykopaliskach często znajdujemy iż cząstki zwierzęce czy roślinne zostały zastąpione, molekuła po molekuła, ciałem mineralnym, które zachowało częściowo lub całkowicie ich kształt i strukturę. Tutaj, nutę na pięciolinii czy słowo drukowane nazywa autor pseudomorfem kulturalnym odpowiedniego tonu muzycznego czy słowa wypowiedzianego (Red).

²„Izomorficzny” (w chemii): dwie substancje określane są jako izomorficzne, jeśli ich budowa krystaliczna i skład chemiczny są podobne (Red).

taką by mogły być natychmiast przetransformowane na 26 drukowanych symboli. Bardzo rzadko wpadało autorom do głowy, że potrzeba im właściwie czegoś więcej dla wyrażenia swych myśli. William Blake, sto lat temu, sam musiał ryc swe własne klisze drukarskie, aby móc dać swym ideom izomorficzny odpowiednik; jemu nie wystarczyły wszędzie te same, nie dające się zmienić kształty poszczególnych czcionek. Apollinaire, w pierwszym dziesiątku dwudziestego wieku, uważał że musi zerwać z panującymi wówczas 'symptomami symbolicznymi' i sam komponował swe własne układy graficzne, aby dać izomorficzny odpowiednik ideom swych wierszy; 'tradycyjalna' typograficzna forma strofy nie wystarczała mu.

Tak więc nowe formy powstają nie tylko jako rezultat systematycznych badań naukowych z dziedziny Psychologii Postaci, powstają one także i dzięki artyście, który ma tę irytującą skłonność do rozwiązywania wielu zagadnień na dużo przed tym nim naukowiec czy zwykły śmiertelnik pomyśli o tym by te zagadnienia w ogóle postawić. Rozwiązania podane przez artystę są jednak intuicyjne, artysta nie jest świadomy ani zagadnienia ani rozwiązania. I, być może że rozwiązania jakich poszukujemy dzisiaj istnieją już na płótnach malarskich; oczy nasze jednak nie widzą ich jeszcze jako 'postaci'.

Zagadnienia z dziedzin takich jak logika pozytywistyczna, budowa języka, sposób wyrażania prawd matematycznych, — wymagały swoistego symbolizmu, którym jest właśnie ich odpowiednik izomorficzny: i te odpowiedniki izomorficzne wpływały z kolei na rozwój tych samych idei które je powołały były do życia. Matematyce potrzebny był symbol dla pokazania pustego miejsca na abakusie (liczydło). Z chwilą kiedy zaproponowany i zaakceptowany został symbol 'O', będący izomorficznym odpowiednikiem owego pustego miejsca, symbol ten wpłynął z kolei nie tylko na rozwój matematyki, ale i na rozwój cywilizacji.

Istotnie, nie tylko nowa książka i nowa forma jest potrzebna — potrzebny jest i nowy autor.

ANTHONY FROSHAUG

WYDAWNICTWA ARTYSTYCZNE

ZAPOMINA się często o tym, że większość ludzi zna większość dzieł sztuki z reprodukcją a nie z oryginałów. Z reprodukcjami obrazów jest tak jak z tłumaczeniem literatury na obce języki. Mogą być bardzo złe, mogą być doskonałe, ale potrzebne są zawsze. A zwłaszcza dziś, kiedy dzieła sztuki porzrzucane są po całym, granicami posiekanym świecie¹).

Nowoczesne metody drukarskie mogą dostarczyć dobrych i tanich reprodukcji jak najszerzej publiczności. Reprodukcje takie mają ważną rolę do odegrania w nowoczesnym życiu. Mogą uczynić dla sztuk plastycznych to, co gramofon uczynił dla muzyki i 'groszowe' biblioteki dla literatury, mogą udostępnić

¹Notatki podane tutaj oparte są częściowo na danych, zgromadzonych w publikacji THE VISUAL ARTS (Sztuki Plastyczne) A Survey by the Arts Enquiry. Interesującą tę pracę, opartą na materiale rzeczowym zebranych przez około 200 artystów, dyrektorów galerii, krytyków, nauczycieli itd., omówimy w oddzielnym sprawozdaniu.

wszystkim możność zapoznania się z dziełami sztuki, rozszerzając w ten sposób dostępny nam świat wzruszeń i wpływając na kształtowanie się naszego smaku.

Reprodukcje produkowane dzisiaj, są to głównie reprodukcje przeznaczone dla dzieci, albo też reprodukcje o charakterze bardzo popularnym. Malarstwo, zarówno starych mistrzów jak i nowoczesne, stanowi tu małą pozycję. Winę za to ponosi raczej brak inicjatywy ze strony nakładców, a nie taki czy inny smak publiczności. Ceny reprodukcji produkowanych i sprzedawanych przez firmy handlowe, są nadmiernie wygórowane. Poza tym dochodzi do tych cen podatek państwowy w wysokości 100%. „Rada Sztuki” (C.E.M.A. — Council for the Encouragement of Music and Arts — porównaj artykuł: „Artyści w Anglii”, w numerze Majowym, 1946, Nowej Polski) pokazała jednak co nawet w tych warunkach można uczynić: 42,000 barwnych reprodukcji „kollotypowych”, 50 cm x 75 cm, po cenie 12s. 6d. włącznie z podatkiem.

Nowoczesne metody wydawnicze umożliwiają jednak większości ludzi dostęp do reprodukcji. Poza wydawnictwami takimi jak „Studio Publications”, „Phaidon Press Books”, wymienić należy nową serię „Penguin Modern Painters”, która zawiera po 16 kolorowych i 16 czarno-białych reprodukcji w cenie 2s. 6d. egzemplarz. Jak dotąd w serii tej ukazały się następujące tytuły: GRAHAM SUTHERLAND, DUNCAN GRANT, PAUL NASH, MATTHEW SMITH, DAVID JONES, VICTOR PASMORE, JOHN PIPER, oraz HENRY MOOR, którego jeden rysunek z tego tomu reprodukuje obok („Pink and Green Sleepers”. 1941).

Katalogi Galerii, przewodniki po Muzeach, „pocztówki”, zawierają mnóstwo reprodukcji, ale jest to wciąż tylko mała częśćka tych wszystkich skarbów, jakie powinny być opubliko-

W O J N A

1 8 9 5



Henri Rousseau. OKROPNOŚCI WOJNY. 1895.

Litografia na czerwonym papierze. Z książki: „Henri Rousseau,” Daniel Catton Rich. The Museum of Modern Art, New York. 1942

wane i, ponieważ każda kolekcja odpowiedzialna jest tylko za swe własne publikacje, brak jest wydawnictw które by obejmowały całokształt. Pod względem jakości te wydawnictwa oficjalne nie dorównują też takim publikacjom jak np. książki-katalogi newyorskiego Museum of Modern Art, które wydało już kilkadziesiąt wspaniale ilustrowanych tomów, poświęconych wszelkim przejawom sztuki nowoczesnej i twórczości ludów prymitywnych. (Reprodukowane obok: „Okropności Wojenne” — Rousseau, oraz „Tata Jesucristo” — Goitia, wzięte są z wydawnictw Museum of Modern Art).

Katalogi wystaw bieżących nie zawierały na ogół ilustracji, w czasie wojny. Przed wojną bywały bogato ilustrowane (reprodukowany obok obraz Picassa „La Femme qui pleure” wzięty jest z katalogu wystawy „Picasso w Zbiorach Angielskich”, Londyn, 1939), a i teraz zaczynają się w katalogach pokazywać reprodukcje wystawianych obrazów (reprodukowany obok obraz Ensora „The Man of Sorrows” wzięty jest z katalogu zorganizowanej przez Arts Council of Great Britain wystawy Ensora w Londynie, 1946. — Porównaj artykuł „Artyści w Anglii” w numerze Majowym, 1946, Nowej Polski).

„Potrzebna jest oficjalna organizacja wydawnicza, która by dla dobra powszechnego produkowała i dystrybowała reprodukcje i litografie na rynku i dla szkół i podjęła się wydawania publikacji dla galerii narodowych i prowincjonalnych. Powinna ona wykorzystać te możliwości jakie daje wydawnictwo zcentralizowane, głównym jej zadaniem powinno być jednak osiągnięcie i utrzymanie wysokiego poziomu estetycznego i technicznego. Ważne jest jednak by organizacja taka nie wkraczała w prawa, jakie kolekcje indywidualne posiadają do publikowania samemu.” — tę konkluzję znajdujemy we wspomnianym wyżej raporcie „The Visual Arts”¹.

W S C H R O N I E

1 9 4 1



Henry Moor. PINK AND GREEN SLEEPERS. 1941.

Kreda, akwarela i pióro. Z książki: „Henry Moor”. The Penguin Modern Painters. Londyn. 1943.



THE MAN OF SORROWS.

Z katalogu wystawy James'a Ensor'a,
Londyn, 1946. The Arts Council of
Great Britain.



LA FEMME QUI PLEURE.

Z katalogu wystawy: Picasso w Zbio-
rach Angielskich. London, 1939.
London Gallery Bulletin.



O. Goitia, Francisco: "TATA JESUCRISTO."

Z książki: „20 Wieków Sztuki Meksykańskiej“. The Museum of Modern Art,
New York. 1940

Telephon:

GER.6847



HONG KONG

CHIŃSKA RESTAURACJA

58-60, Shaftesbury Avenue
London, W. 1.

otwarta do godz. 10 w nocy.

ESPLANADE

HOTEL RESTAURACJA

2, WARRINGTON CRESCENT
LONDON, W. 9. Tel.: CUN 1052

W pokojach ciepła i zimna woda oraz
telefon. Centralne ogrzewanie. Doskonała
kuchnia polsko-rosyjska

MÓWI SIĘ PO POLSKU

Dojazd : Stacja kolei podziemnej
Warwick Ave. na brązowej linii.

Wyłączone przedstawicielstwo ogłoszeń,
Advertising Offices, The Carlton Berry
Co., Grand Buildings, Trafalgar Square,
London, W. C. 2. Tel. : ABBey 5108

**PRZE
KROJ** **ILUSTROWANY**
WIELOBARWNY
TYGODNIK
LITERACKI

REDAKCJA: KRAKÓW, STAROWIŚLNA Nr. 4
Tel. 545,60-62

WYDAWCA: „CZYTELNIK”

ECHO
STADIONU
tygodnik sportowy

ukazuje się

w WARSZAWIE

co tydzień

Red. i Adm.; Śniadeckich 16

3/-



Published by „Nowa Polska”, 91 Great Titchfield Street, London, W.1, and
printed by Staples Press Limited at their Great Titchfield Street London.

factory. — Tel.: MUSEum 1409.

3/-

P O L S K I TYGODNIK LEKARSKI

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ulica Chocimska 24

Konto P. K. O.: Warszawa I. 654

::: WYDAWCA: Lekarski Instytut Naukowo-Wydawniczy :::

Redaktor: prof. dr med. Ludwik Paszkiewicz

Sekretarz Red.: dr med. J. Mockało.

Komitet Redakcyjny Ścisły:

prof. dr med. T. Butkiewicz,

prof. dr med. L. Hirszfeld (Wrocław),

prof. dr med. K. Jonscher (Poznań),

prof. dr med. M. Kacprzak,

prof. dr med. T. Kielanowski (Lublin),

prof. dr med. W. Mozolowski (Gdańsk),

prof. dr med. W. Orłowski,

doc. dr med. E. Reicher,

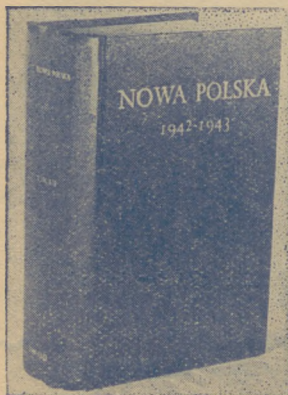
prof. dr med. M. Semerau-Siemianowski (Łódź),

prof. dr med. W. Szenajch,

prof. dr med. Fr. Walter (Kraków).

POSZCZEGÓLNE ZESZYTY DO NABYCIA W ADMINISTRACJI
„NOWEJ POLSKI”

.... A TYMCZASEM
ZABAWIAJCIE SIĘ W DOMU
PRZY DŹWIĘKACH PŁYT DECCA



PRZEDSTAWICIELSTWO

„NOWEJ POLSKI“ W AMERYCE

25 WEST 45th STREET, NEW YORK 19. N.Y.

posiada na składzie

52 tomy oprawne „Nowej Polski“

za 1943 rok à £ 1.15.0

33 tomy oprawne za 1944 rok à £ 2.0.0

które czytelnicy obu Ameryk i Kanady mogą nabywać